



MORGAN RICE

KSIĘGA 2 CYKLU O KORONIE I CHWALE

ZŁOCZYŃCA,
WIĘZNIARKA,
KRÓLEWNA

Morgan Rice
Złoczyńca, Więźniarka, Królowna
Серия «О Короні І Чвале», книга 2

Аннотация

Morgan Rice napisała kolejną fantastyczną serię powieści, która przeniesie nas w świat fantasy. Znajdziecie w nim męstwo, honor, odwagę, magię i wiarę w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku... To powieść, która powinna się znaleźć w bibliotece każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (w odniesieniu do Powrotu Smoków) ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA to druga księga bestsellerowego cyklu powieści fantasy O KORONIE I CHWALE autorstwa Morgan Rice, rozpoczynającego się od NIEWOLNICY, WOJOWNICZKI, KRÓLOWEJ. 17-letnia Ceres, piękna i uboga dziewczyna z imperialnego miasta Delos zostaje zmuszona królewskim dekretem, by walczyć na Stade – brutalnym miejscu, w którym wojownicy ze wszystkich stron świata próbują zabić jeden drugiego. Zostaje wystawiona do walk przeciw okrutnym przeciwnikom i nie ma zbyt wielkich nadziei na zwycięstwo. Jej jedyną szansą jest jej wewnętrzna moc i przeistoczenie się – raz na zawsze – z niewolnicy w wojowniczkę. 18-letni książę Thanos budzi się na brzegu wyspy Haylon i odkrywa, że został dźgnięty w plecy przez jednego ze

swych ludzi, który pozostawił go na śmierć na zaplamionej krwią plaży. Pojmany przez rebeliantów, młodzieniec musi powrócić do sił, dowiedzieć się, kto próbował go zabić i dokonać zemsty. Rozdzieleni Ceres i Thanos nie zapomnieli o swym uczuciu. W imperialnym dworze królewskim roi się jednak od łgarstw, zdrady i obłudy i na skutek tragicznych nieporozumień spowodowanych kłamstwami zazdrosnych arystokratów każde z nich sądzi, że drugie nie żyje. Decyzje, które podejmą, zdeterminują ich losy. Czy Ceres przeżyje walki na Stade i stanie się wojowniczką, którą pisane było jej zostać? Czy Thanos powróci do zdrowia i odkryje skrywaną przed nim tajemnicę? Czy rozdzieleni siłą Ceres i Thanos zdołają się odnaleźć?

ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA opowiada wspaniałą historię tragicznej miłości, zemsty, zdrady, ambicji i przeznaczenia. Pełna niezapomnianych bohaterów i trzymającej w napięciu akcji powieść przenosi nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który sprawi, że na nowo zakochamy się w fantasy. Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl **DZIEDZICTWO** Christophera Paoliniego... Fani powieści młodzieżowych pochłoną najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne. *The Wanderer, A Literary Journal* (w odniesieniu do Powrotu smoków) Wkrótce ukaże się księga trzecia cyklu **O KORONIE I CHWALE!**

Содержание

| | |
|-----------------------------------|----|
| ROZDZIAŁ PIERWSZY | 15 |
| ROZDZIAŁ DRUGI | 25 |
| ROZDZIAŁ TRZECI | 31 |
| ROZDZIAŁ CZWARTY | 40 |
| ROZDZIAŁ PIĄTY | 47 |
| ROZDZIAŁ SZÓSTY | 55 |
| ROZDZIAŁ SIÓDMY | 63 |
| ROZDZIAŁ ÓSMY | 71 |
| Конец ознакомительного фрагмента. | 80 |

ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA
(KSIĘGA 2 CYKLU O KORONIE I CHWALE)
MORGAN RICE

PRZEKŁAD: SANDRA WILK

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do powieści Morgan Rice

„Jeśli po zakończeniu cyklu KRĄG

CZARNOKSIEŻNIKA uznałeś, że nie warto już żyć, nie masz racji. POWROTEM SMOKÓW Morgan Rice rozpoczyna coś, co zapowiada się na kolejną fantastyczną serię powieści, prowadzących w świat fantasy zamieszkaną przez trolle i smoki. Jest to opowieść o męstwie, honorze, odwadze, magii i wierze w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku... To powieść, która powinna się znaleźć w bibliotece każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy.”

--Books and Movie Reviews

Roberto Mattos

“Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl DZIEDZICTWO Christophera Paoliniego... Fani powieści młodzieżowych pochłoną najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne.”

--The Wanderer, A Literary Journal (w odniesieniu do Powrotu smoków)

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. Wyprawa bohaterów opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym

niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

- Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

- Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krag Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

- Publishers Weekly

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA (CZEŚĆ 1)

O KORONIE I CHWALE

NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA, KRÓLOWA (CZEŚĆ

1)

ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA (CZEŚĆ 2)

RYCERZ, DZIEDZIC, KSIAŻĘ (CZEŚĆ 3)
KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY
POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)
POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)
KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)
KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)
NOC ŚMIAŁKÓW (CZEŚĆ #6)

KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA
WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBIE ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RECERZY (CZEŚĆ 16)

TRYLOGIA O PRZETRWANIU

ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (CZEŚĆ 1)

ARENA DWA (CZEŚĆ 2)

WAMPIRY, UPADŁA

PRZED ŚWITEM (CZEŚĆ 1)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

OPĘTANA (CZEŚĆ 12)

Pobierz powieści Morgan Rice już teraz z Play!





Posłuchaj serii KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA w formie audiobooka!

Dostępna jest na:

Amazon

Audible

iTunes

Chcesz darmowe książki?

Dopisz się do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz bezpłatnie 4 książki, 3 mapy, 1 aplikację, 1 grę, 1 powieść graficzną i ekskluzywne upominki! Aby do niej dołączyć, odwiedź stronę:

www.morganricebooks.com

Copyright © 2016 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dla niej dodatkowy egzemplarz. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autora i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Jacket image Copyright Kiselev Andrey Valerevich, ©

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Dla Angeli Morrison: Niech Bóg ma w opiece jej piękną duszę.

Dla Kendry Lipscomb-Poole: Twoja matka nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej córki.

Dwie prawdziwe bohaterki, teraz tak bliskie sobie jak nigdy.

To wyróżnienie dla tej powieści, że jest Wam dedykowana.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ceres! Ceres! Ceres!

Ceres słyszała skandowanie ciżby tak wyraźnie, jak łomotanie własnego serca. Uniosła w odpowiedzi miecz, zaciskając mocniej dłoń na jego rękojeści i przesuując palcami po skórze. Nie miało dla niej znaczenia to, że poznali jej imię najpewniej ledwie kilka chwil wcześniej. Wystarczyło jej, że je znali i że rozbrzmiewało ono w niej, że czuła je niemal jak coś fizycznego.

Po przeciwnej stronie Stade jej przeciwnik – krzepki mistrz boju – chodził w tę i we w tę. Spojrzawszy na niego, Ceres przełknęła nerwowo ślinę. Czuła, że zbiera w niej trwoga, choć usiłowała ją zdusić. Wiedziała, że to może być ostatnia walka w jej życiu.

Mistrz boju krążył niczym lew zamknięty w klatce, kreśląc mieczem łuki w powietrzu, jak gdyby pragnął pochwalić się swymi wielkimi muskułami. W swym napierśniku i hełmie z zasłoną zdawał się być wykuty z kamienia. Ceres trudno było uwierzyć, że jest zbudowany z krwi i kości.

Dziewczyna zamknęła oczy i zebrała siły.

Podążasz temu, rzekła sobie. Może nie zwyciężysz, ale musisz dzielnie stawić mu czoła. Jeśli masz zginąć, musisz zginąć z honorem.

Nagły ryk trąbki zagrzmiał Ceres w uszach, wzbijając się nawet ponad krzyki ciżby. Rozszedł się po arenie i jej przeciwnik

nagle zaszarżował.

Ceres nie spodziewała się, że tak wielki mężczyzna może być tak szybki i znalazł się przy niej, nim zdążyła zareagować. Zdołała jedynie uchylić się, wzniecając tuman kurzu i usuwając się wojownikowi z drogi.

Mistrz boju zamachnął się trzymaną w obu rękach bronią i uchylając się, Ceres poczuła świst powietrza. Mężczyzna siekł niczym rzeźnik tasakiem i gdy Ceres obróciła się i zatrzymała cios, od uderzenia metalu o metal zdrząły jej ręce. Nie sądziła, że jakikolwiek wojownik może być tak silny.

Krażąc wokół niego zaczęła się cofać, a jej przeciwnik ruszył za nią z ponurą pewnością.

Ceres słyszała swe imię pośród radosnych krzyków i gwizdów ciżby. Zmusiła się, by się skupić; nie spuszczała oczu ze swego przeciwnika i próbowała sięgnąć pamięcią do swego szkolenia, usiłując przewidzieć, co może się teraz zdarzyć. Próbowała ciąć, po czym obróciła nadgarstek, by skrócić miecz i parować cios.

Mistrz boju jednak tylko prychnął, gdy miecz Ceres wyszczerbił zbroję na jego przedramieniu.

Uśmiechnął się, jak gdyby sprawiło mu to przyjemność.

- Zapłacisz za to – ostrzegł ją. Mówił z silnym akcentem, pochodzącym z jednego z odległych krańców Imperium.

I znów zaatakował, zmuszając ją, by parowała ciosy i uchylała się, i Ceres wiedziała, że nie może ryzykować bezpośredniego starcia. Nie z kimś tak silnym.

Dziewczyna poczuła, że ziemia pod jej prawą stopą ustępuje

i w miejscu, gdzie powinna poczuć twarde podłoże nie wyczuła nic. Zerknęła pod nogi i ujrzała piach osypujący się w dół. Przez chwilę jej stopa zawisła w powietrzu i Ceres pchnęła mieczem na ślepo, z trudem próbując utrzymać równowagę.

Mistrz boju parował cios niemal z pogardą. Przez sekundę Ceres była pewna, że zginie, gdyż nie było sposobu, by mogła zatrzymać cios, którym mężczyzna odpowie. Poczowała uderzenie miecza, który zetknął się ze zgrzytem z jej orężem. Spowolniła go jednak tylko i cios spadł na jej zbroję. Napierśnik Ceres wygiął się, wbijając w jej ciało z ogromną siłą, a w miejscu, gdzie się kończył, poczuła silne ukłucie bólu, gdy ostrze przecięło skórę wzdłuż obojczyka.

Zatoczyła się w tył i ujrzała, że na terenie całej areny rozwierają się kolejne doły, niczym paszcze wygłodniałych bestii. Wtem zrozpaczonej dziewczynie przyszło coś na myśl: może mogłaby je wykorzystać.

Ceres obeszała brzeg dołu z nadzieją, że spowolni atak mężczyzny.

- Ceres! – zakrzyknął Paulo.

Odwróciła się, a orężnik rzucił jej krótką włócznię. Jej trzon wpadł w jej śliską dłoń, drewno było chropowate. Włócznia była krótsza niż taka, której użyto by w prawdziwej bitwie, lecz wystarczająco długa, by posłać zakończoną grotem w kształcie liścia broń ponad dołami.

- Będę cię ciął kawałek po kawałku – mruknął mistrz boju, posuwając się wzdłuż skraju dołu.

Przy tak silnym przeciwniku, pomyślała Ceres, najlepszym rozwiązaniem było go zmęczyć. Jak długo ktoś tak krzepki mógł walczyć? Ceres już czuła, że pałą ją mięśnie, a po twarzy spływa pot. Jak długo jeszcze będzie mógł walczyć mistrz boju, naprzeciw którego stała?

Nie sposób było tego przewidzieć, lecz taka taktyka była jej jedyną nadzieją. Uchyliła się więc i cięła, najlepiej jak mogła wykorzystując długość włóczni. Zdołała przebić się przez obronę potężnego wojownika, lecz grot jedynie odbijał się od jego zbroi.

Mistrz boju kopnął, podrywając chmurę piachu w oczy Ceres, lecz dziewczyna zdążyła się odwrócić. Zamachnęła się i przesunęła włócznią nisko, ku jego odsłoniętym nogom. Mężczyzna przeskoczył nad nią, lecz Ceres zdołała zadać mu ranę w przedramię, gdy cofała włócznię.

Zadawała teraz ciosy w górę i dół, mierząc w kończyny przeciwnika. Rosły mężczyzna parował i blokował, badając jej wytrzymałość, lecz Ceres nie zatrzymywała się ani na chwilę. Dźgała ku jego twarzy z nadzieją, że zdoła go choćby rozkojarzyć.

Mistrz boju chwycił jej włócznię. Złapał ją za grotem i pociągnął w przód, usuwając się na bok. Ceres musiała wypuścić ją z rąk, nie chcąc ryzykować, że mężczyzna pociągnie ją na swój miecz. Jej przeciwnik strzaskał włócznię na kolanie z taką łatwością, z jaką przyszłoby mu złamanie gałązki.

Cizba zawyła z uciechy.

Ceres poczuła, że plecy zrosił jej pot. Na chwilę przed oczyma

wyobraźni stanął jej obraz mężczyzny, który z równą lekkością gruchocze jej kości. Przełknęła na tę myśl i znów uniosła miecz.

Posypały się na nią kolejne ciosy i Ceres zacisnęła na rękojeści obie ręce, gdyż tylko w ten sposób mogła je choć trochę spowolnić. Pomimo tego były one dla niej niezwykle trudne do obrony i przy każdym z nich czuła się jak dzwon uderzany przez młot. Każdy z nich wprawiał jej ręce w drżenie.

Ceres już czuła, że się męczy. Każdy jej oddech był urywany, jak gdyby siłą wciągała powietrze w płuca. Nie było teraz mowy o tym, by mogła kontratakować albo uczynić cokolwiek innego, niż cofnąć się z nadzieją, że jakimś sposobem zdoła przetrwać.

I wtedy stało się. Ceres poczuła, jak z wolna wzbiera w niej moc. Nadeszła wraz z ciepłem, niby pierwsze żarzące się drwa w ognisku. Spoczęła w jej brzuchu i czekała, a Ceres sięgnęła do niej.

Energia przepłynęła przez jej ciało. Wszystko dokoła spowolniło i zaczęło poruszać się ospale jak mucha w smole, i Ceres nagle poczuła, że ma mnóstwo czasu, by parować kolejny atak.

Miała też mnóstwo siły. Z łatwością zablokowała cios, po czym zatoczyła mieczem i –tak szybko, że wszystko wkoło zawirowało – cięła mistrza boju w ramię.

- Ceres! Ceres! – ryknęła cizba.

Cizba nie przestawała krzyczeć jej imienia i Ceres spostrzegła rosnącą wściekłość mistrza boju. Rozumiała jego gniew. Powinni byli skandować jego imię, ogłaszać jego zwycięstwo i

radować się jej śmiercią.

Mężczyzna ryknął i rzucił się w przód. Ceres zwlekała tak długo, jak długo starczyło jej odwagi, nie poruszając się aż przeciwnik był już niemal przy niej.

Wtedy raptownie się pochyliła. Poczowała szmer tnącego nad jej głową ostrza i szorstki piasek, gdy dotknęła kolanami ziemi. Rzuciła się w przód, zataczając łuk mieczem, który ugodził biegnącego mistrza boju w nogi.

Mężczyzna zatoczył się w przód, a miecz wypadł mu z dłoni. Ciżba ryknęła z uciechy.

Ceres stanęła nad nim, patrząc, jak jej miecz pokiereszował nogi wojownika. Przez chwilę zastanawiała się, czy mężczyzna zdoła choćby wstać, lecz ten osunął się na powrót na ziemię i odwrócił na plecy, unosząc dłonie i błagając o litość. Ceres zawahała się i rozejrzała, wypatrując możnowładców, którzy zdecydują, czy leżący przed nią mężczyzna zginie, czy przeżyje. Bez względu na to, co orzekną, postanowiła Ceres, nie uśmierci bezbronnego wojownika.

Rozległ się kolejny nagły dźwięk trąbki.

Żelazne bramy z boku areny otworzyły się i rozległ się ryk, którego sam ton sprawił, że po plecach Ceres przebiegł dreszcz. W tej chwili poczuła się jak zwierzyna, którą zamierzano upolować, która musi uciekać. Ośmieliła się zerknąć w górę, ku trybunie możnowładców, wiedząc, że musieli uczynić to z rozmysłem. Walka się zakończyła. Ceres zwyciężyłaby. To nie było jednak po ich myśli. Zamierzali ją zabić – spostrzegła się –

w ten czy inny sposób. Nie pozwolą, by wyszła ze Stade żywa.

Na arenę ciężko stąpając wyszedł większy od człowieka, porośnięty gęstym futrem stwór. Z niby niedźwiedziej mordy wystawały mu kły, a na grzbiecie sterczały kolczaste wypustki. Jego łapy zakończone były szponiskami długości sztyletów. Ceres nie wiedziała, co to za zwierz, lecz nie musiała wiedzieć, jak go nazywają, by wiedzieć, że może ją ukatrupić.

Przypominający niedźwiedzia stwór opadł na cztery łapy i ruszył naprzód, a Ceres uniosła miecz.

Dopadł wpierw leżącego mistrza boju i Ceres odwróciłaby wzrok, gdyby starczyło jej na to odwagi. Mężczyzna krzyknął, gdy stwór skoczył na niego, lecz nie zdążył odsunąć się w czas. Ogromne łapy opadły z łoskotem w dół i Ceres usłyszała trzask ustępującego napierśnika. Bestia rycząc rozszarpywała jej przeciwnika.

Gdy podniosła łeb, jej kły były mokre od krwi. Spojrzała na Ceres, obnażyła zębiska i ruszyła naprzód.

Dziewczyna ledwie zdołała odsunąć się na czas, tnąc mieczem w stronę biegnącej bestii. Stwór zawył z bólu.

Siła rozpędu jednakże porwała jej broń z rąk, aż miała wrażenie, że wyrwie jej rękę, jeśli jej nie wypuści. Patrzyła z przerażeniem, jak miecz ślizga się po piasku i wpada do jednego z dołów.

Bestia zbliżała się i Ceres rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na miejsce, w którym na piasku leżały dwie części włóczni. Rzuciła się ku nim, chwyciła jedną z nich i przetoczyła się po ziemi.

Gdy podniosła się na jedno kolano, bestia już szarżowała. Nie może uciekać, rzekła sobie. To była jej jedyna szansa.

Bestia uderzyła w nią z impetem i jej ciężar i prędkość poderwały Ceres z ziemi. Nie było czasu na rozmyślanie, nie było czasu na lęk. Pchnęła odłamaną częścią włóczni, uderzając raz po raz, gdy łapy przypominającej niedźwiedzia bestii zaciskały się na niej.

Jej siła była ogromna, zbyt wielka, by Ceres mogła się z nią równać. Ceres miała wrażenie, że żebra jej pękają. Jej napierśnik trzeszczał pod naporem bestii. Czowała jej szpony przecinające skórę na jej plecach i nogach i rozlewający się po ciele ból.

Skóra stwora była zbyt gruba. Ceres uderzała raz za razem, lecz czuła, że grot włóczni jedynie nakłuwa jego ciało, podczas gdy ten rozszarpywał ją, jego szpony rozrywały każdy kawałek odsłoniętej skóry.

Ceres zamknęła oczy. Zebrawszy wszystkie siły, sięgnęła do kryjącej się w niej mocy, nie wiedząc nawet, czy jej się powiedzie.

Poczuła, jak nagle wypełnia ją kula energii. Całą tę siłę przeniosła w swą włócznię i pchnęła broń w miejsce, gdzie – jak miała nadzieję – znajdowało się serce stwora.

Bestia wrzasnęła i odsunęła się.

Cizba zawyła.

Obolała po ranach zadanych przez bestię Ceres wydostała się spod jej cielska i niepewnie wstała. Spojrzała na stwora, który z zatopioną w piersi włócznią przetaczał się po ziemi i rzeził,

wydając odgłosy, które zdawały się zdecydowanie zbyt nikłe jak na tak ogromne stworzenie.

Wtem zeszytniał i zdechł.

- Ceres! Ceres! Ceres!

Stade ponownie wypełniło się radosnymi okrzykami. Gdziekolwiek Ceres się obróciła, ludzie wykrzykiwali jej imię. Moźnowładcy wespół z prostym ludem przyłączali się do skandowania, zapominając się w tej jednej chwili jej zwycięstwa.

- Ceres! Ceres! Ceres!

Spostrzegła, że zaczęła się tym napawać. Nie sposób było nie dać się porwać uczuciu uwielbienia. Całe jej ciało zdawało się pulsować w rytmie rozlegających się dokoła krzyków i Ceres rozłożyła ręce, jak gdyby pragnęła zagarnąć je wszystkie. Obróciła się powoli dookoła, przypatrując się twarzom tych, którzy dzień wcześniej nawet o niej nie słyszeli, a którzy teraz odnosili się do niej tak, jak gdyby była najznacniejszą osobą na świecie.

Ceres tak bardzo pochłonęła ta chwila, że niemal nie czuła już bólu zadanych ran. Teraz rozbolało ją ramię, więc przyłożyła do niego dłoń. Była mokra. Krew w promieniach słońca miała barwę żywej czerwieni.

Ceres wpatrywała się w tę plamę przez kilka sekund. Ciżba nadal skandowała jej imię, lecz naraz znacznie głośniej słyszała łomotanie swego serca. Podniosła wzrok na ciżbę i minęła chwila, nim zorientowała się, że klęczy. Nie pamiętała, by osuwała się na kolana.

Kątem oka Ceres dojrzała Paulo spieszącego w jej stronę, lecz zdał jej się zbyt odległy, jak gdyby nie miało to z nią żadnego związku. Krew ściekała z jej palców na piasek, znacząc go czerwienią. Ceres nigdy nie kręciło się w głowie tak silnie, jak w tej chwili.

Spostrzegła się jeszcze tylko, iż upada twarzą na ziemię areny, czując, że już nigdy się nie poruszy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Thanos powoli otworzył oczy, z zaskoczeniem czując fale omywające przeguby jego dłoni i kostki. Pod sobą czuł twardy biały piasek plaży Haylonu. Słona mgiełka wodna od czasu do czasu wciskała mu się do ust, utrudniając oddychanie.

Rozejrzał się na boki, nie będąc w stanie zrobić nic więcej. Nawet to uczynił z trudem, gdyż na przemian tracił przytomność i ją odzyskiwał. Zdawało mu się, że w oddali dostrzega płomienie i słyszy odgłosy walki. Dobiegły go krzyki i szcęk stali uderzającej o stal.

Wyspa, przypomniał sobie. Haylon. Ich atak się rozpoczął.

Dlaczego więc leżał na piasku?

Minęła chwila, nim ból w ramieniu dał mu odpowiedź na to pytanie. Przypomniał sobie, co się stało i wzdrygnął się na samo wspomnienie. Pamiętał chwilę, w której ostrze zatopiło się w nim, przebiło jego plecy od tyłu. Pamiętał szok, który poczuł, gdy Tajfun go zdradził.

Ciałem Thanosa zawładnął ból, promieniując jak rozwijający się pęk kwiatu od rany na jego plecach. Bolało go przy każdym oddechu. Próbował unieść głowę – lecz osunął się jedynie bez przytomności.

Gdy ocknął się kolejny raz, leżał znów twarzą w piasku i spostrzegł upływ czasu jedynie po tym, że rozpoczął się przypływ i woda omywała jego pas, a nie tylko kostki. Zdołał

wreszcie unieść głowę na tyle wysoko, by dostrzec inne ciała na plaży. Trupy zdawały się okrywać powierzchnię ziemi, rozciągając się na białym piasku daleko jak mógł sięgnąć okiem. Ujrzał mężczyzn w zbrojach Imperium, leżących w miejscach, w których polegli, pośród obrońców, którzy oddali życie za swój dom.

Odór śmierci wypełnił jego nozdrza i Thanos ledwie powstrzymał się przed tym, by nie zwymiotować. Nikt nie rozdzielił jeszcze poległych na przyjaciół i wrogów. Takimi drobnostkami zajmą się, gdy bitwa się zakończy. Być może Imperium pozostawi ich przyplływowi; obejrzawszy się za siebie Thanos spostrzegł krew w wodzie i wynurzające się spośród fal płetwy. Nie były to jeszcze wielkie rekiny, raczej padlinożercy niż drapieżcy – ale czy musiały być wielkie, by pożreć go, gdy nadejdzie przyplływ?

Thanos poczuł, że ogarnia go panika. Spróbował przesunąć się po plaży, przyciągając się rękoma, jakby czołgając się po piasku. Wykrzyknął z bólu, podciągając się przed siebie może o jakieś pół długości swego ciała.

Znów pociemniało mu przed oczyma.

Gdy odzyskał przytomność, leżał na boku i patrzył na postaci, które się nad nim pochylały. Były wystarczająco blisko, by mógł ich dotknąć, gdyby miał na to siłę. Nie wyglądali na żołnierzy Imperium – nie wyglądali wcale na żołnierzy – a Thanos spędził wystarczająco dużo czasu pośród wojowników, by poznać różnicę. Ci tutaj, młodszy mężczyzna i starszy,

wyglądali bardziej na rolników, prostych ludzi, którzy pewnie uciekli z własnych chat, by uniknąć rzezi. To nie oznaczało jednak, że byli mniej niebezpieczni. Obaj trzymali w dłoniach noże i Thanos zaczął się zastanawiać, czy też zbierają to, co pozostało, jak rekiny. Wiedział, że po bitwach zawsze znajdują się tacy, którzy będą chcieli obrabować zmarłych.

- Ten jeszcze oddycha – odezwał się jeden z mężczyzn.

- Widzę. Poderżnij mu gardło i po sprawie.

Thanos naprężył mięśnie, jego ciało szykowało się do walki, choć tak naprawdę nie byłby w stanie się poruszyć.

- Spójrzże na niego – upierał się młodszy. – Ktoś dźgnął go w plecy.

Thanos spostrzegł, że starszy mężczyzna nieznacznie zmarszczył brwi. Stanął za Thanosem, tak, że ten go nie widział. Młodzieniec zdołał powstrzymać się od krzyku, gdy mężczyzna dotknął miejsca, w którym krew wciąż wypływała z rany. Był księciem Imperium. Nie zamierzał okazać słabości.

- Chyba masz rację. Pomóż mi przenieść go tam, gdzie nie pożą go rekiny. Pokażemy go reszcie.

Thanos ujrzał, jak młodszy mężczyzna kiwa głową. We dwóch zdołali go podnieść, wraz ze zbroją i całą resztą. Tym razem Thanos wykrzyknął, nie potrafiąc zapanować nad bólem, gdy nieśli go przez plażę.

Rzucili go jak kłodę wyrzuconą przez morze na brzeg, poza linią porzuconych przez wodę wodorostów, i pozostawili na suchym piasku. Odeszli spiesźnie, lecz Thanos był zbyt

pograżony w bólu, by patrzeć, jak odchodzą.

Nie mógł odmierzyć upływu czasu. W oddali wciąż słyszał bitewny zgiełk, krzyki pełne okrucieństwa i złości, okrzyki bojowe i sygnały alarmowe. Bój mógł jednakże toczyć się kilka minut lub wiele godzin. Mógł zakończyć się po pierwszej szarży albo trwać tak długo, aż każda ze stron będzie się już zataczać z braku sił. Thanos nie wiedział, jak było w tym przypadku.

Wreszcie podeszło do niego kilku mężczyzn. Ci wyglądali na żołnierzy. Thanos dostrzegł w nich hardość, którą zyskuje się po stoczeniu walki o swe życie. Łatwo było poznać, który z nich jest przywódcą. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna idący na przedzie nie miał na sobie bogato zdobionej zbroi, jaką mógłby nosić imperialny generał, lecz pozostali zbliżając się do Thanosa wyraźnie oczekiwali na jego rozkazy.

Przybysz przekroczył już pewnie trzydziesty rok życia. Jego broda była równie ciemna, jak włosy, a sylwetka – choć smukła – kryła w sobie siłę. Po obu bokach do pasa przytroczone miał dwa krótkie miecze i Thanos przypuszczał, że nie znajdują się tam wyłącznie na pokaz, zważywszy na to, że jego dłonie odruchowo krążyły nad ich rękojeściami. Spostrzegł, że mężczyzna w milczeniu obserwuje bacznie każdy zakątek plaży, wypatrując zasadzki, wybiegając myślami naprzód. Spojrzał Thanosowi w oczy i na jego ustach pojawił się uśmiech, za którym kryła się osobliwa żartobliwość, jak gdyby mężczyzna ujrzał coś, czego nikt inny na całym świecie nie widział.

- To po toście mnie tu sprowadzili? – zapytał dwóch

mężczyzn, którzy znaleźli Thanosa, a którzy teraz wyszli naprzód. – Żeby zobaczyć konającego imperialnego żołnierza w zbroi zbyt wypolerowanej, by mogło mu to wyjść na dobre?

- Ale to arystokrata – odezwał się starszy z mężczyzn. – Widać po zbroi.

- I został dźgnięty w plecy – dodał młodszy. – Chyba przez swoich.

- Nie jest zatem wystarczająco dobry nawet dla szumowin, które usiłują przejąć naszą wyspę? – odrzekł przywódca.

Thanos patrzył, jak mężczyzna przysuwa się i klęka obok niego. Być może zamierzał doprowadzić do końca to, co zaczął Tajfun. Żaden żołnierz Haylonu nie okaże serca tym po przeciwnej stronie konfliktu.

- Cóż takiego uczyniłeś, że twoi ludzie próbowali cię ukatrupić? – zapytał przybysz tak cicho, że usłyszał go jedynie Thanos.

Młodzieniec zdołał potrząsnąć głową.

- Nie wiem – wypowiedział te słowa niepewnym, łamiącym się głosem. Nawet gdyby nie był ranny, długi czas przeleżał na piasku. – ale nie chciałem tego. Nie chciałem tu walczyć.

Te słowa wywołały kolejny z dziwnych uśmiechów, jakby – jak zdawało się Thanosowi – mężczyzna śmiał się ze świata, choć nie było z czego się śmiać.

- A mimo tego jesteś tutaj – rzekł przybysz. – Nie chciałeś brać udziału w najeździe, ale jesteś na naszej plaży zamiast żyć bezpiecznie w swej ojczyźnie. Nie chciałeś wykazywać

się okrucieństwem, ale imperialna armia w tej właśnie chwili puszcza z dymem nasze chaty. Czy wiesz, co się dzieje za tą plażą?

Thanos pokręcił głową. Nawet to sprawiło mu ból.

- Przegrywamy – mówił dalej mężczyzna. – Owszem, walczyliśmy wystarczająco zaciekle, lecz to nie ma znaczenia. Nie kiedy przeciwnik jest tak liczny. Bitwa wciąż trwa, ale jedynie dlatego, że połowa naszych jest zbyt uparta, by uznać prawdę. Nie możemy trwonić czasu na takie błażostki.

Thanos patrzył, jak przybysz dobywa jednego ze swych mieczy. Wyglądał na niezwykle ostry. Tak ostry, że pewnie nawet nic nie poczuje, gdy mężczyzna zatopi go w jego sercu. Miał tego wskazać nim dwóch mężczyzn.

- Ty i ty – powiedział do nich. – zabierzcie naszego nowego druha. Być może okaże się coś wart dla naszego wroga – uśmiechnął się szczerząc zęby. – a jeśli nie, sam go ukatrupię.

Thanos poczuł tylko, jak silne ręce chwytają go pod ramiona, podnoszą i odciągają, i znów cały świat okrył się mrokiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zmierzając drogą prowadzącą do domu – do Delos – Berin odczuwał dojmującą tęsknotę. Przed siebie pchało go tylko jedno: myśl o rodzinie – myśl o Ceres. Myśl o powrocie do córki nie pozwalała mu się zatrzymać, choć szedł już wiele dni i nie było łatwo – ziemia pod jego stopami była poślóbia koleinami i usypana kamieniami. Stare kości dawały mu się we znaki i kolano już rozboleło go od drogi, zwiększając ból nękający go przez życie spędzone na wykuwaniu i przetapianiu metalu.

Było jednak warto, jeśli dzięki temu ujrzy znów dom. Swoją rodzinę. Przez cały czas, gdy był daleko od nich, Berin pragnął jedynie tego. Widział ich oczyma duszy. Marita gotuje na tyłach skromnej drewnianej chaty i zapach stawy unosi się przez drzwi na zewnątrz. Sartes dokazuje gdzieś z tyłu obejścia, a Nesos najpewniej go pilnuje, nawet jeśli udaje, że tak nie jest.

I Ceres. Berin darzył miłością wszystkie swe dzieci, lecz z Ceres zawsze łączyła go najsilniejsza więź. Jako jedyna pomagała mu w kuźni, najbardziej się w niego wdała i było najbardziej prawdopodobne, że pójdzie w jego ślady. Pozostawienie Marity i synów było dla niego bolesnym obowiązkiem, koniecznym, by zapewnić byt rodzinie. Pozostawiając Ceres czuł, jak gdyby porzucił część siebie.

Teraz nadszedł czas, by ją odzyskać.

Berin żałował jedynie, że nie niesie lepszych wieści. Szedł

kamienistą drogą prowadzącą do chaty i zmarszczył brwi; zima jeszcze nie nadeszła, ale zjawi się już niebawem. Berin miał wyruszyć, by znaleźć zatrudnienie. Lordowie zawsze potrzebowali mieczników, by wykuwali oręż dla strażników, na wojny, na Jatki. Okazało się jednak, że nie potrzebowali jego. Mieli od tego swych własnych ludzi. Młodszych, silniejszych. Nawet ten król, który zdawał się być zainteresowany jego usługami, okazał się szukać Berina takiego, jakim był przed dziesięciu laty.

Ubodło go to, lecz powinien był się domyślić, że nie będą potrzebowali mężczyzny, którego broda poprzetykana jest już gęsto srebrnymi nitkami.

Ubodłoby go to bardziej, gdyby nie równało się temu, że może powrócić do domu. Dom był tym, co dla niego najważniejsze, nawet jeśli były to tylko cztery ściany z nieheblowanego drewna kryte darnią. Dom tworzyli czekający na niego ludzie i na myśl o nich Berin przyspieszył kroku.

Jednakże gdy wspiął się na pagórek i dojrzał w oddali swą chatę, wiedział, że coś jest nie w porządku. Ścisnęło go w dołku. Berin wiedział, jak wygląda jego dom. Choć ziemie wokoło były nieurodzajne, przy jego gospodarstwie tętniło życie. Zawsze panował tam hałas – czy to radosna wrzawa, czy krzyki. A o tej porze roku co najmniej kilka upraw powinno rosnąć na poletku wokół chaty – warzywa i nieduże krzewy owocowe, wytrzymałe rośliny, które zawsze rodziły przynajmniej tyle, by ich wykarmić.

Jednakże nie to ujrzał przed sobą.

Berin puścił się biegiem tak szybkim, na jaki tylko potrafił się zdobyć po tak długiej wędrówce. Nękało go przeczucie, że coś jest nie w porządku, i miał wrażenie, jakby jedno z jego imadeł zaciskało się mu na sercu.

Dobiegł do chaty i silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Być może, pomyślał, okaże się, że wszystko jest dobrze. Być może spostrzegli go w oddali i chcieli, by jego przybycie było niespodziewane.

W środku było ciemno, a okna zalepione były od brudu. Wyczuł, że ktoś tu jest.

Marita stała w największej izbie, mieszając w garncu. Znad stawy unosił się zapach, który zdał się Berinowi zbyt kwaśny. Kobieta odwróciła się w jego stronę, gdy wparował do środka i wtedy Berin wiedział już, że miał rację. Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

- Marito? – odezwał się.

- Mężu – nawet obojętny ton jej głosu powiedział mu, że nic nie jest tak, jak powinno. Za każdym razem, gdy Berin dokądś wyjeżdżał, Marita zarzucała mu ramiona na szyję w chwili, gdy przekraczał próg chaty. Zawsze była pełna życia. A teraz zdawała się... pusta.

- Co tu się dzieje? – zapytał Berin.

- Nie wiem, o czym mówisz – i znów w jej głosie kryło się mniej uczucia, niż powinno, jak gdyby coś w jego żonie pękło i uszła z niej cała radość.

- Dlaczego wszystko jest takie... takie nieruchome? – zapytał

Berin. – Gdzie są nasze dzieci?

- Nie ma ich teraz w chacie – odrzekła Marita. Obróciła się znów do garnca, jak gdyby wszystko było w jak najlepszym porządku.

- A gdzie są? – Berin nie zamierzał zadowolić się tą odpowiedzią. Mógł uwierzyć, że chłopcy pobiegli nad pobliski strumyk lub za sprawunkami, lecz jedno z jego dzieci z pewnością ujrzałoby, że wraca do domu i przybiegłoby go powitać. – Gdzie jest Ceres?

- Ach tak – powiedziała Marita i Berin usłyszał w jej głosie gorycz. – Rzecz jasna, że pytasz o nią. Nie o to, jak ja się czuję. Nie o swoich synów. O nią.

Berin nigdy wcześniej nie słyszał, by jego żona mówiła w ten sposób. Owszem, zawsze wiedział, że jest nieco surowa, że bardziej martwi ją los własny niż reszty świata, ale przez te słowa Berin odniósł wrażenie, że jej serce obróciło się w popiół.

Marita uspokoiła się i szybkość, z jaką to nastąpiło, wydała się Berinowi podejrzana.

- Chcesz wiedzieć, czego dopuściła się twoja umiłowana córeczka? – zapytała. – Uciekła.

Obawy Berina pogłębiły się. Pokręcił głową.

- Nie wierzę w to.

Marita mówiła dalej:

- Uciekła. Nie powiedziała dokąd, zabrała tylko co mogła.

- Nie mogła zabrać pieniędzy, których nie mamy – powiedział

Berin. – Zresztą Ceres nigdy by tego nie uczyniła.

- To oczywiste, że stajesz po jej stronie – odrzekła Marita.
– Zabrała... rzeczy z naszej chaty, przedmioty. Znając tę dziewczynę – to, co pomyślała że może sprzedać w sąsiedniej osadzie. Porzuciła nas.

Jeśli tak właśnie myślała o córce Marita, Berin był pewien, że tak naprawdę nigdy jej dobrze nie poznała. Albo jego, jeśli sądzi, że uwierzy w tak oczywiste łgarstwo. Chwycił ją za ramiona i choć nie był już tak silny, jak niegdyś, jego żona nadal czuła się przy nim bezbronna.

- Mów prawdę, Marito! Co tu się stało? – Berin potrząsnął nią, jak gdyby jakimś cudem to mogło przywrócić mu jego dawną żonę i sprawić, by stała się znów Maritą, którą poślubił wiele lat temu. Kobieta jednak tylko się odsunęła.

- Twoi synowie nie żyją! – warknęła. Wykrzyczane przez nią słowa rozniosły się po ich niedużej chacie. Głos jej się załamał.
– To właśnie się stało. Nasi synowie nie żyją.

Te słowa uderzyły Berina z siłą wierzchowca, który nie chce pozwolić się podkuć.

- Nie – powiedział. – To kolejne kłamstwo. Z pewnością.
Nie przyszło mu na myśl nic, co Marita mogłaby rzec, a co sprawiłoby mu równie wielki ból. Mówiła tak jedynie po to, by go zranić.

- Od kiedy tak mnie nienawidzisz? – zapytał Berin, gdyż był to, jak sądził, jedyny powód, dla którego jego żona mogłaby wyrzucić z siebie słowa tak ohydne, użyć myśli o śmierci ich synów jako broni przeciw niemu.

Berin dostrzegł łzy w oczach Marity. Nie widział ich, gdy mówiła o rzekomej ucieczce ich córki.

- Od chwili, gdy postanowiłeś nas porzucić – odwarknęła. – Od chwili, gdy musiałam patrzeć, jak Nesos umiera!

- Jedynie Nesos? – zapytał Berin.

- A czy to mało? – odkrzyknęła Marita. – Czy też może nie dbasz o swych synów?

- Przed chwilą rzekłaś, że i Sartes nie żyje – powiedział Berin. – Przestań mnie okłamywać, Marito!

- Sartes także nie żyje – upierała się jego żona. – Przyszli po niego żołnierze. Zabrali, by walczył w imperialnej armii, a to jeszcze chłopiec. Jak sądzisz, długo zdoła tam przetrwać? Nie, obaj moi synowie odeszli, a Ceres...

- Co z Ceres? – zapytał Berin.

Marita pokręciła tylko głową.

- Gdybyś tu był, może wcale by do tego nie doszło.

- Ty tutaj byłaś – syknął Berin, drżąc na całym ciele. – O to wszak chodziło. Sądzisz, że chciałem wyjeżdżać? Miałaś opiekować się nimi, gdy ja szukałem zarobku, byśmy mieli co jeść.

Berina ogarnęła rozpacz i poczuł, że zaczyna szlochać tak, jak nie szlochał, odkąd był dzieckiem. Jego najstarszy syn nie żył. Choć Marita wypowiedziała wiele kłamstw, te słowa zabrzmiały prawdziwie. Ta strata pozostawiła po sobie pustkę, która zdawała się niemożliwa do wypełnienia, pomimo żalu i gniewu, które zapłonęły w jego sercu. Zmusił się, by skupić swą uwagę na

pozostałych dzieciach, gdyż zdało mu się, że tylko w ten sposób może sprawić, by nie zawładnęły nim bez reszty.

- Żołnierze zabrali Sartesa? – zapytał. – Imperialni żołnierze?

- Sądzisz, że kłamię? – spytała Marita.

- Sam nie wiem już, w co wierzyć – odparł Berin. – Nie próbowałaś nawet ich powstrzymać?

- Przytknęli mi nóż do gardła – rzekła Marita. – Musiałam to uczynić.

- Co musiałaś uczynić? – zapytał Berin.

Marita potrząsnęła głową.

- Musiałam zawołać go z chaty. Zabiliby mnie.

- Wydałaś im zatem jego?

- A cóż miałam zrobić? – zapytała Marita. – Nie było cię tu.

I Berin najpewniej będzie czuł się przez to winny tak długo, jak będzie żył. Marita miała rację. Być może gdyby był tutaj, nie doszłoby do tego. Wyruszył, by uchronić swą rodzinę od głodu, a gdy go nie było, wszystko się rozpadło. Poczucie winy nie przyćmiło jednak żalu ani gniewu. Wzmocniło je jedynie. Wzbierało w Berinie, niby coś żywego, co próbuje się wydostać na zewnątrz.

- A co z Ceres? – zapytał. Potrząsnął znowu Maritą. – Mówże! Tylko tym razem prawdę. Co uczyniłaś?

Marita jednakże tylko znowu się odsunęła i tym razem przykucnęła na ziemi, kuląc się i nie patrząc na niego.

- Sam się przekonaj. To ja musiałam z tym żyć. Ja, nie ty.

Berin miał chęć potrząsać nią, póki nie usłyszy odpowiedzi.

Wymusić z niej prawdę, bez względu na cenę. Nie był jednak mężczyzną, który postępuje w ten sposób i wiedział, że to się nie zmieni. Sama myśl o tym napawała go obrzydzeniem.

Wychodząc z chaty, nie zabrał nic. Nie było tu nic, czego by chciał. Oglądając się za siebie, na Maritę – tak całkowicie pogrążoną w swej goryczy z powodu wydania żołnierzom syna, że próbowała ukryć, co stało się z ich dziećmi – trudno było mu uwierzyć, że kiedykolwiek było inaczej.

Berin wyszedł na podwórze, mrugając, by osuszyć ostatnie łzy. Dopiero gdy oślepiły go promienie słońca, zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd się skierować. Cóż mógłby zrobić? Jego starszemu synowi nie można było pomóc – już nie – a pozostałych dwoje mogło znajdować się gdziekolwiek.

- To bez znaczenia – rzekł do siebie. Poczuł, że determinacja przeradza się w nim w coś innego, jak żelazo, z którym pracował. – To mnie nie powstrzyma.

Być może ktoś w pobliżu widział, dokąd się udali. Ktoś z pewnością będzie wiedział, gdzie znajduje się armia, a Berin wiedział jak każdy, że człowiek wykuwający miecze zawsze znajdzie sposób, by znaleźć się blisko niej.

A jeśli chodzi o Ceres... natrafi na jakiś trop. Musi gdzieś być. Gdyż ta inna ewentualność była nie do pomyślenia.

Berin rozejrzał się po ziemiach otaczających jego chatę. Ceres była gdzieś tam. Sartes także. Kolejne słowa wypowiedział na głos, gdyż zdało mu się, że staną się przez to obietnicą złożoną samemu sobie, światu, jego dzieciom.

- Odnajdę was oboje – przysiągł. – Bez względu na to, ile będzie mnie to kosztowało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sartes biegł pomiędzy namiotami armii, dysząc ciężko i ściskając w dłoni zwój. Otarł pot z czoła. Wiedział, że jeśli nie dotrze rychło do namiotu swego dowódcy, czeka go chłosta. Kluczył najlepiej jak mógł, wiedząc, że goni go czas. I tak zatrzymywano go już zbyt wiele razy.

Sartes miał już blizny po oparzeniach na łydkach z tych razów, gdy w czymś się omylił. Piekły go, lecz były teraz tylko jednymi spośród wielu. Chłopiec zamrugał, z rozpaczą rozglądając się po obozie i próbując określić, którą dróżkę pośród zdającej się nie mieć końca siatki namiotów obrać. Oznaczenia i sztandary wskazywały drogę, lecz Sartes wciąż próbował poznać układ obozowiska.

Chłopiec poczuł, że się potyka i przewrócił się, a wszystko wokoło zdało się wywrócić do góry nogami. Przez chwilę myślał, że zahaczył nogą o sznur, lecz gdy podniósł wzrok, ujrzał śmiejących się żołnierzy. Mężczyzna stojący na ich czele był starszy, miał krótkie, sztywne włosy oprószone już siwizną, a jego twarz znaczyły zdobyte podczas wielu bitew blizny.

Wtedy Sartesa ogarnął lęk, a zarazem pewnego rodzaju rezygnacja; tak wyglądało życie rekruta – takiego jak on – w armii. Nie zapytał, dlaczego to zrobili, gdyż odzywianie się było pewną drogą do chłosty. Jak zdążył już spostrzec, niemal wszystko mogło do tego doprowadzić.

Miał tego podniósł się i otrzepał błoto ze swej tuniki.

- Gdzie ci tak spieszno, smarku? – zapytał żołnierz, przez którego się przewrócił.

- Biegnę z wiadomością do mego dowódcy, panie – odrzekł Sartes, unosząc pergamin, by mężczyzna mógł go zobaczyć. Miał nadzieję, że to wystarczy, by pozostawili go w spokoju. Często było inaczej, choć według reguł wykonanie rozkazu było najważniejsze.

Od czasu, gdy się tu znalazł, Sartes przekonał się, że w imperialnej armii panuje mnóstwo reguł. Niektóre były oficjalne: opuść obóz bez przyzwolenia, nie zastosuj się do rozkazu, zdradź armię, a przypłacisz to życiem. Pomaszeruj nie w tę stronę, zrób cokolwiek bez przyzwolenia, a czeka cię chłosta. Były jednak także inne reguły. Nie tak oficjalne, których złamanie mogło ponieść za sobą równie groźne konsekwencje.

- A jakież to wieści niesiesz? – zapytał żołnierz. Inni zaczęli zbierać się wokół nich. W armii zawsze brak było rozrywek, więc jeśli istniała szansa zabawienia się kosztem rekruta, mężczyźni przystawali i patrzyli.

Sartes starał się jak tylko mógł, by wyglądać na skruszonego.

- Nie wiem, panie. Otrzymałem jedynie rozkaz, by dostarczyć tę wiadomość. Możecie ją przeczytać, jeśli sobie tego życzyacie.

Było to zamierzone ryzyko. Większość szeregowych żołnierzy nie potrafiła czytać. Miał nadzieję, że ton jego głosu nie zarobi mu ciosu w głowę za niesubordynację, lecz starał się nie okazywać strachu. Nieokazywanie strachu było jedną z

niepisanych reguł. W szeregach armii było ich równie dużo, co tych oficjalnych. Reguły dotyczące tego, kogo trzeba znać, by dostać rację lepszej strawy. Tego, kto znał kogo i przy kim należało zachować ostrożność, bez względu na rangę. Poznanie tych reguł zdawało się być jedyną drogą, by przeżyć.

- Cóż, zatem lepiej zmykaj! – huknął żołnierz, kopiąc Sartesa, by nabrał rozpędu. Zebrani wokoło ryknęli śmiechem, jak gdyby był to najlepszy kawał, jaki kiedykolwiek widzieli.

Jedną z najważniejszych niepisanych zasad zdawała się być ta, która głosiła, że rekrutami wolno poniewierać. Odkąd się tu znalazł, Sartes był bity i trącany, porządnie stłuczony i popychany. Zmuszano go, by biegał, aż myślał, że wyzionie ducha – i jeszcze dłużej. Obłożono go tak ciężkim sprzętem, że czuł, iż ledwie może ustać, i musiał go nosić, kopać doły w ziemi bez żadnego powodu, pracować. Słyszał opowieści o zwykłych żołnierzach, którzy postępowali wobec nowych rekrutów jeszcze gorzej. Nawet jeśli umierali, jakie to miało znaczenie dla armii? Znaleźli się tam, by rzucić ich wrogowi na pożarcie. Wszyscy spodziewali się, że stracą życie.

Sartes spodziewał się, że zginie pierwszego dnia. Pod wieczór czuł nawet, że sam tego chce. Skulił się w przydzielonym mu zbyt cienkim namiocie i trząsał się, błagając, by ziemia go pochłoneła. Choć zdawało się to niemożliwe, następnego dnia było jeszcze gorzej. Inny nowy rekrut, którego imienia Sartes nawet nie poznał, został wtedy zabity. Przyłapano go na próbie ucieczki i wszyscy musieli patrzeć na jego stracenie, jak gdyby miała

to być dla nich jakaś nauczka. Jedyłą nauczką, jaką dostrzegł w tym Sartre, było to, jak okrutna była armia wobec każdego, kto okazał strach. Wtedy zaczął próbować go ukrywać, nie okazywać, choć trwoga czała się w nim w każdej chwili, gdy nie spał.

Pobiegł teraz pomiędzy namiotami w inną stronę, zbaczając nieco z drogi. Chciał zajrzeć do jednej z kantyn, gdzie dzień wcześniej jeden z kucharzy potrzebował pomocy w napisaniu listu do domu. Armia słabo karmiła swych rekrutów i Sartre poczuł, że burczy mu w brzuchu na myśl o jedzeniu, lecz nie zjadł tego, co zabrał ze sobą, pobiegł tylko ku namiotowi oficera dowodzącego.

- Gdzieżeś się podziewał? – zapytał oficer. Ton jego głosu świadczył wyraźnie, że to, iż zatrzymali go inni żołnierze, nie starczy za wymówkę. Sartre jednak wiedział o tym. Po części to dlatego zбочzył do kantyny.

- Odebrałem to po drodze, panie – odrzekł Sartre, wyciągając ku mężczyźnie placek z jabłkami, który, jak doszły go słuchy, był jego ulubionym przysmakiem. – Wiedziałem, że dzisiaj możecie nie mieć szansy odebrać go osobiście.

Postawa oficera zmieniła się w mgnieniu oka.

- Bardzoś przemyślny, rekrucie...

- Sartre, panie – Sartre nie ośmielił się uśmiechnąć.

- Sartre. Przydadzą nam się żołnierze, którzy potrafią rozumować. Ale następnym razem pamiętaj, że rozkaz jest sprawą największej wagi.

- Tak jest, panie – powiedział Sartes. – Czy macie dla mnie jeszcze jakieś zadania, panie?

Oficer odesłał go ruchem ręki.

- Nie w tej chwili, ale zapamiętam twoje imię. Możesz odejść.

Chłopiec wyszedł z pawilonu dowódcy, czując się o niebo lepiej, niż gdy do niego wchodził. Nie był pewien, czy ten drobny uczynek wystarczy, by ocalić mu skórę po spóźnieniu spowodowanym przez żołnierzy. Wyglądało jednak na to, że zdołał uniknąć kary i doprowadzić do tego, że oficer wiedział, jak mu na imię.

Stąpił po niepewnym gruncie, lecz cała armia sprawiała, że tak się czuł. Jak dotąd zdołał przetrwać tu dzięki swemu sprytowi i temu, iż umykał przed największym jej okrucieństwem. Widział, jak chłopcy w jego wieku giną albo są bici tak mocno, że oczywiste było, iż rychło umrą. Nie wiedział jednak, jak długo jeszcze zdoła mu się podtrzymać taki stan rzeczy. Rekrut w takim miejscu okrucieństwo i śmierć mógł odwlekać tylko przez jakiś czas.

Sartes przełknął ślinę na myśl o wszystkim, co mogło pójść nie tak. Żołnierz mógł zabić go zbyt mocno. Oficer mógł zostać urażony przez jakąś drobnostkę i zaordynować karę, by jej okrucieństwo stanowiło nauczkę dla innych. Lada chwila mogli posłać go na bitwę, a doszły go słuchy, że rekrutów stawiają w pierwszych szeregach, by „wypławić słabych”. Nawet szkolenie może zakończyć się śmiercią, gdyż armia nie używała tępego oręża, a rekrutów nie instruowano zbyt dokładnie.

Za wszystkimi innymi lękami krył się największy – że ktoś odkryje, iż Sartre próbował przyłączyć się do Rexusa i rebeliantów. Nie było sposobu, by się o tym dowiedzieli, ale nawet najmniejsza po temu szansa wystarczyła, by przyćmić wszystkie pozostałe lęki. Sartre widział ciało żołnierza, którego oskarżono o sympatyzowanie z rebeliantami. Jego oddziałowi rozkazano porąbać go na kawałki, by dowieść swej lojalności. Sartre nie chciał tak skończyć. Sama myśl o tym wystarczyła, by żołądek zacisnął mu się silniej niż z głodu.

- Ty tam! – rozległ się głos i Sartre podskoczył. Nie mógł pozbyć się uczucia, że ktoś odgadł, o czym myślał. Zmusił się, by chociaż udawać, że jest spokojny. Rozejrzał się i ujrzał żołnierza w bogatej zbroi sierżanta o ospowatej twarzy, pokrytej niewyobrażalnie głębokimi bliznami. – Jesteś posłańcem kapitana?

- Właśnie dostarczyłem mu wiadomość, panie – powiedział Sartre. Niezupełnie skłamał.

- Zatem i dla mnie wystarczysz. Idź i dowiedz się, gdzie są wozy z moimi zapasami drwa. Jeśli ktoś będzie ci sprawiał kłopoty, rzeknij, że przysłał cię Venn.

Sartre zaszalutował szybko.

- Tak jest, panie.

Ruszył, by zająć się zadaniem, lecz biegnąc nie myślał o tym, co miał do wykonania. Obrął dłuższą, okrężną drogę. Drogę, która pozwoli mu poznać obrzeża obozowiska, ich punkty obserwacyjne, drogę, która pozwoli mu wypatrzyć jakiegokolwiek

słabe punkty.

Gdyż – choćby miał przypłacić to śmiercią – tej nocy Sartre znajdzie sposób, by stąd zbiec.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lucious przepychał się pomiędzy ciżbą możnowładców w zamkowej sali tronowej, trzęsąc się ze złości. Złościł się, gdyż zmuszony był przeciskać się, choć wszyscy zebrani tam powinni rozstąpić się na boki i pokłonić nisko, umożliwiając mu przejście. Złościł się, gdyż Thanos pławił się w chwale, wojując z rebeliantami na Haylonie. Nade wszystko złościł się jednak przez to, co stało się na Stade. Ta dziewczka Ceres po raz kolejny pokrzyżowała mu plany.

Przed sobą ujrzał króla i królową pogrążonych w poważnej rozmowie z Cosmasem, starym głupcem z biblioteki. Lucious sądził, że nie ujrzy już uczonego po tym, jak wszystkich ich jako dzieci przymuszano do nauki niedorzecznych faktów o świecie i tym, jak funkcjonuje. Jak widać nie miał racji – najwyraźniej po przekazaniu monarchom listu, który ukazał prawdziwą zdradę Ceres, Cosmas zyskał posłuch u króla.

Lucious przepychał się naprzód, mijając dworzan zajętych błahymi intrygami. Nieopodal spostrzegł swą odległą kuzynkę Stephanie. Śmiała się z żartu innej dobrze ułożonej damy. Obejrzała się i zdołała podtrzymać jego spojrzenie wystarczająco długo, by się do niego uśmiechnąć. Naprawdę była – uznał Lucious – głupiutkim stworzeniem. Ale ślicznym. Może kiedyś, pomyślał, nadarzy się sposobność, by zabawić się w jej towarzystwie. Był pod każdym względem co najmniej tak samo

godny podziwu jak Thanos.

W tej chwili jednakże wściekłość Luciousa przez to, co się zdarzyło, płonęła zbyt mocno, by nawet taka myśl miała go uradować. Podeszedł zamaszystym krokiem pod tron, na sam skraj wzniesionego tam podwyższenia.

- Ona nadal żyje! – wykrzyknął bez ogródek, stanąwszy przed tronem. Nie dbał o to, że powiedział to tak głośno, iż jego słowa poniosły się po całej sali. Niech słyszą, pomyślał. Z pewnością nie miało znaczenia to, że Cosmas wciąż szeptał coś do ucha króla i królowej. Cóż wartego uwagi, zastanawiał się Lucious, mógł mieć do powiedzenia człek, który spędził swe życie nad zwojami?

- Czy słyszeliście, co rzekłem? – zapytał Lucious. – Dziewka...

- Nadal żyje, tak – powiedział król, gestem dłoni nakazując mu, by milczał. – Omawiamy istotniejsze kwestie. Thanos zaginał podczas bitwy o Haylon.

Ten gest był kolejnym impulsem, który podsycił gniew Luciousa. Traktują go jak jakiegoś sługę, którego można uciszyć, pomyślał. Mimo tego zamilkł. Nie mógł pozwolić sobie na to, by wzbudzić gniew króla. Nadto kilka chwil zajęło mu pojęcie tego, co właśnie usłyszał.

Thanos zaginał? Lucious zastanawiał się, jaki to miało wpływ na niego. Czy zmieni to jego pozycję we dworze? Zamyślony, spojrział znów na Stephanie.

- Dziękujemy ci, Cosmasie – rzekła w końcu królowa.

Lucious patrzył na schodzącego w ciżbę przypatrujących się dworzan uczonego. Dopiero wtedy król i królowa zwrócili się ku niemu. Lucious wypchnął pierś do przodu. Nie pozwolił, by inni dostrzegli żal, który gorzał w nim po tej niewielkiej urazie. Gdyby ktokolwiek inny tak go potraktował, rzekł sobie Lucious, już by go ukatrupił.

- Jesteśmy świadomi, iż Ceres przeżyła ostatnie Jatki – odezwał się król Claudius. Luciousowi zdało się, że monarcha ani trochę nie jest tym faktem rozdrażniony, a na pewno nie płonie w nim ta sama wściekłość, która ogarniała Luciousa na samą myśl o tej wieśniaczce.

Jednakże to nie króla, pomyślał Lucious, zwyciężyła dziewczka. Nie raz, a dwa, gdyż jakimś podstępem pokonała go także, gdy zjawił się w jej komnacie, by dać jej nauczkę. Lucious czuł, że ma powód, ma prawo, by to, iż przeżyła, traktować jak osobistą porażkę.

- Zatem jesteście świadomi, że nie można pozwolić, by tak pozostało – odparł Lucious. Nie potrafił zapanować nad głosem i nadać mu odpowiednio grzecznego, spokojnego tonu. – Musicie jakoś temu zaradzić.

- Musicie? – zapytała królowa Athena. – Zważaj na swe słowa, Luciousie. Jesteśmy twymi monarchami.

- Za waszym pozwoleniem, najjaśniejsza pani – odezwała się Stephania i Lucious ujrzał, że przemyka między dworzanami w jedwabnej, opływającej jej ciało sukni. – Lucious ma słuszność. Nie można pozwolić, by Ceres żyła.

Lucious spostrzegł, że monarcha nieznacznie zmrużył oczy.

- A cóż mielibyśmy uczynić? – zapytał niecierpliwie król Claudius. – Wyprowadzić ją na arenę i ściąć? To ty zasugerowałaś, by walczyła, Stephanio. Nie możesz narzekać, jeśli nie podoba ci się to, iż jeszcze nie zginęła.

Lucious rozumiał go przynajmniej w tej kwestii. Nie mieli pretekstu, by ją uśmiercać, a ludzie wymagali go, by uśmiercić tych, których darzyli miłością. Bardziej zaskakiwało go jednak to, że – jak się zdawało – naprawdę ją kochają. Ale dlaczego? Czy dlatego, że miała niejakię pojęcie o walce? Jak spostrzegł Lucious, byle głupiec potrafił walczyć. I wielu z nich walczyło. Gdyby lud miał choć krztynę oleju w głowie, obdarzyłby miłością tych, którzy na to zasługują: swych prawowitych władców.

- Pojmuję, że nie można jej tak po prostu ściąć, najjaśniejszy panie – powiedziała Stephania z jednym ze swych niewinnych uśmiechów, które, jak Lucious spostrzegł, przychodziły jej z tak wielką łatwością.

- Rad jestem, że to dostrzegasz – rzekł wyraźnie rozdrażniony król. – Czy dostrzegasz także, co by się stało, gdyby teraz ktoś ją skrzywdził? Teraz, gdy już walczyła? Gdy zwyciężyła?

Rzecz jasna, Lucious pojmował to. Nie był dzieckiem, dla którego polityka była nieznanym terenem.

Stephania odrzekła:

- Wywołałoby to rewolucję, najjaśniejszy panie. Mieszkańcy grodu mogliby wzniecić bunt.

- Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że tak właśnie by się stało – powiedział król Caludius. – Nie bez powodu wznieśliśmy Stade. Lud łaknie krwi, a my dajemy im to, czego pragną. Ta potrzeba okrucieństwa z łatwością może zwrócić się przeciwko nam.

Lucious roześmiał się. Trudno było mu uwierzyć, że król naprawdę sądził, iż mieszkańcy Delos byliby w stanie pozbawić ich władzy. Widział ich i nie była to mordercza ciżba, lecz zwykły motłoch. Zabijcie kilku z nich, pokażcie konsekwencje ich czynów w okrutny sposób, a rychło staną się posłuszni.

- Cóż cię tak rozbawiło, Luciousie? – zwróciła się do niego królowa. W jej głosie Lucious usłyszał ostrzeżenie. Król i królowa nie lubili, gdy się z nich śmiano. Szczęśliwie jednak miał gotową odpowiedź.

- Rzecz w tym, iż rozwiązanie zdaje się oczywiste – powiedział Lucious. – Nie proszę, by stracono Ceres. Twierdzę, iż nie doceniliśmy jej zdolności w walce. Tym razem musimy zadbać o to, by do tego nie doszło.

- I sprawić, by okryła się jeszcze większą sławą, jeśli zwycięży? – zapytała Stephania. – Przez swą wygraną stała się ulubienicą ludu.

Lucious uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Czy widziałaś, jak pospólstwo zachowuje się na Stade? – spytał. Pojmował to, nawet jeśli dla innych było to niezrozumiałe. Stephania prychnęła.

- Staram się na nich nie patrzeć, kuzynie.

- Ale z pewnością ich słyszałaś. Wykrzykują imiona swych ulubieńców. Są żądni widoku krwi. A co dzieje się, gdy ich ulubieńcy upadną? – rozejrzał się wokoło, po części spodziewając się, że ktoś odpowie na jego pytanie. Ku jego rozczarowaniu tak się nie stało. Być może Stephania nie była wystarczająco bystra, by to dostrzec. Luciousowi to jednak nie wadziło.

- Wykrzykują imiona nowych zwycięzców – wyjaśnił. – Kochają ich równie gorąco, jak poprzednich. Teraz wykrzykują imię tej dziewczki, lecz gdy krwawiąc osunie się na ziemię, zapragną jej śmierci równie szybko, jak każdego innego wojownika. Musimy jedynie nieco zmniejszyć jej szanse.

Król zamyślił się.

- O czym mówisz?

- Jeśli nam się nie powiedzie – wtrąciła królowa. – pokochają ją jedynie bardziej.

Lucious wreszcie poczuł, że jego gniew częściowo ustępuje czemuś innemu: zadowoleniu. Obejrzał się na drzwi sali tronowej, przy których czekał jego sługa. Wystarczyło pstryknięcie palców, by mężczyzna wybiegł – choć nie było to znowuż takie dziwne, gdyż wszyscy słudzy Luciousa rychło przekonywali się, że rozgniewanie go nie było mądrym posunięciem.

- Potrafię temu zaradzić – powiedział Lucious, wskazując w stronę drzwi.

Zakuty w kajdany mężczyzna, który wkroczył do sali z

pewnością mierzył ponad dwa metry wzrostu. Miał skórę barwy hebanu, a nad szatą, którą przepasane miał biodra, widoczne były naprężone mięśnie. Jego ciało pokrywały tatuaże; handlarz, który sprzedał Luciousowi tego mistrza boju rzekł mu, iż każdy jeden z nich przedstawia przeciwnika, którego uśmiercił w walce, zarówno w granicach Imperium, jak i w krainach dalekiego południa, skąd go przywieziono.

Mimo tego to nie jego postura ani siła najbardziej przerażały Luciousa. Największą trwogę wzbudzało w nim jego spojrzenie. W jego oczach kryło się coś, co kazało Luciousowi sądzić, iż człowiek ten nie zna współczucia ani litości, bólu ani trwogi. Iż z radością odrywałby im kończynę za kończyną i nawet powieka by mu nie drgnęła. Jego tors poznaczony był bliznami po ciosach mieczy. Lucious nie potrafił wyobrazić sobie, by wyraz jego twarzy uległ zmianie choćby i w chwili, gdy je przyjmował.

Młodzieńcowi przyjemność sprawiało obserwowanie reakcji zebranych w sali na widok wojownika, zakutego w łańcuch niby dziki zwierz i kroczącego pomiędzy nimi dumnym krokiem. Niektóre z kobiet wydały z siebie ciche okrzyki trwogi, a mężczyźni spieszenie usuwali się mu z drogi, zdając się instynktownie wyczuwać, jak niebezpieczny jest ten mężczyzna. Ich strach formował przed nim pusty krąg i Lucious pławił się we wrażeniu, jakie jego mistrz boju wywarł na innych. Patrzył, jak Stephania spieszenie odsuwa się i uśmiechnął się.

- Nazywają go Ostatnie Tchnienie – rzekł Lucious. – Nie przegrał nigdy walki i nigdy nie darował życia swemu wrogowi.

Powitajcie – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – kolejnego – a
zarazem ostatniego – przeciwnika Ceres.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ceres zbudziła się w ciemności. Komnatę rozświetlały jedynie księżycowa poświata wpadająca do środka przez okiennice i migotliwy płomień świecy. Dziewczyna ocknęła się, przypominając sobie, co się zdarzyło. Przypomniała sobie, jak szpony bestii rozszarpawały jej ciało i samo wspomnienie wystarczyło, by ból powrócił. Zapłonął w skórze jej pleców, gdy obróciła się z lekka na bok, i był tak silny i nagły, że Ceres krzyknęła. Był nie do zniesienia.

- Och – usłyszała jakiś głos. – Czyżby cię bolało?

Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Z początku Ceres nie potrafiła rozróżnić szczegółów, lecz po chwili wszystko nabrało ostrości. Nad jej łóżem stała Stephania, równie blada jak promienie księżyca, które ją otaczały, niby uosobienie niewinnej młodej damy, przybyłej z wizytą do chorych i rannych. Ceres nie miała wątpliwości, że przyszła do niej nie bez powodu.

- Nie troskaj się – rzekła Stephania. Ceres wciąż zdawało się, że jej słowa docierają do niej z daleka, że spowite są mgłą. – Uzdrowiciele podali ci coś, co sprowadziło sen, gdy zszywali twe plecy. Zdaje się, iż wzbudziłaś w nich podziw, że przeżyłaś i chcą uśmierzyć twój ból.

Ceres ujrzała, że Stephania wyciąga w jej stronę niedużą buteleczkę. Matowa zieleń szkła odznaczała się na jasnej skórze dłoni Stephanii. Buteleczka była zakorkowana i połyskiwała na

krawędzi szyjki. Ceres zobaczyła, że dziewczyna uśmiecha się i odniosła wrażenie, że jej uśmiech składa się z ostrych krawędzi.

- We mnie nie wzbudziłaś podziwu tym, że zdołałaś przeżyć – powiedziała Stephania. – Nie tak miało być.

Ceres spróbowała jej dosięgnąć. Mogła to być chwila, w której ucieknie. Gdyby była silniejsza, mogłaby przebiec obok Stephanii i rzucić się do drzwi. Gdyby zdołała znaleźć sposób, by przebić się przez tę mgłę, która zdawała się pęcznić w jej głowie tak, iż miała wrażenie, że lada chwila rozłupie jej czaszkę, może zdołałaby chwycić Stephanię i zmusić ją, by pomogła jej uciec.

Odkryła jednakże, iż jej ciało opiera się poleceniom, odpowiada na nie długo po tym, jak zostały wydane. Ceres zdołała jedynie usiąść, owinięta okryciem, i nawet to wywołało kolejną falę bólu.

Ujrzała, jak Stephania przesuwa palcem po buteleczce, którą trzyma w dłoni.

- Och, nie troskaj się, Ceres. Nie bez powodu czujesz się taka bezradna. Uzdrowiciele poprosili mnie, bym dopilnowała, byś przyjęła odpowiednią dawkę ich medykamentu, i tak też uczyniłam. Przynajmniej po części. Wystarczająco dużo, byś była spokojna. Zbyt mało, by uśmierzyć ból.

- Co takiego zrobiłam, by zasłużyć sobie na twoją nienawiść? – zapytała Ceres, choć znała już odpowiedź. Była bliska Thanosowi, który odtrącił Stephanię. – Czy naprawdę tak bardzo pragniesz, by Thanos został twym mężem?

- Zaczynasz bredzić, Ceres – powiedziała Stephania,

uśmiechając się znów bez sympatii. – Poza tym nie nienawidzę cię. Nienawiść sugeruje, że jakimś sposobem jesteś godna być moim wrogiem. Powiedz, czy wiesz cokolwiek o truciznie?

Ledwie wzmianka o niej wystarczyła, by serce Ceres przyspieszyło, a w jej piersi zagościł niepokój.

- Trucizna to niezwykle elegancka broń – powiedziała Stephania, jak gdyby Ceres nie było wcale obok. – Znacznie bardziej elegancka niż nóż czy włócznia. Uważasz się za silną, gdyż bawisz się mieczykiem z prawdziwymi mistrzami boju? A jednak z łatwością mogłam otruć cię, gdy spałaś. Mogłam dodać coś do twego naparu na sen. Mogłam podać ci go zbyt dużo, byś nigdy już się nie zbudziła.

- Ludzie by się dowiedzieli – zdołała wydukać Ceres.

Stephania wzruszyła ramionami.

- A czy przejęliby się tym? Tak czy inaczej, byłby to wypadek. Biedna Stephania,

usiłowała pomóc, lecz nie wiedząc co do końca robi, podała naszej nowej mistrzyni boju zbyt dużą dawkę medykamentu.

Przyłożyła dłoń do ust w udawanym zaskoczeniu. Był to idealny wyraz skruchy skrytej za zdumieniem. W kąciku jej oka zdała się nawet zalśnić łza. Gdy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał inaczej. Był pełen żalu i niedowierzania. Drżał nawet lekko, jak gdyby Stephania powstrzymywała się, by nie zacząć łkać.

- O nie. Cóż ja uczyniłam! Ja nie chciałam. Sądziłam... Sądziłam, że zrobiłam

wszystko tak, jak mi powiedziano!

Roześmiała się i w tej chwili Ceres ujrzała, kim Stephania jest naprawdę. Przejrzała przez maskę, za którą cały czas pieczołowicie zakrywała swe prawdziwe oblicze. Jakim sposobem nikt tego nie spostrzegł? – pomyślała Ceres. Jak mogli nie dojrzeć tego, co kryło się za jej pięknymi uśmiechami i dźwięcznym śmiechem?

- Wiesz, wszyscy uważają mnie za głupią – powiedziała Stephania. Wprostowała się

i zdała się teraz Ceres dużo bardziej niebezpieczna. – Usilnie dbam o to, by tak sądzili. Och, no nie chmurz się tak, nie zamierzam cię otruć.

- Dlaczego nie? – zapytała Ceres. Wiedziała, że musi mieć ku temu jakiś powód.

Spostrzegła, że twarz Stephanii poważnieje w blasku płomienia świecy, a jej gładkie czoło przecina bruzda, gdy dziewczyna zmarszczyła brwi.

- To byłoby zbyt proste – powiedziała Stephania. – Po tym, jak ty i Thanos

upokorzyliście mnie, wolę patrzeć, jak cierpisz. Oboje sobie na to zasłużyliście.

- Nijak już nie możesz mnie skrzywdzić – powiedziała Ceres, choć w tej chwili czuła,

że nie ma racji. Stephania mogła podejść do jej łóżka i sprawić jej ból na sto różnych sposobów, a Ceres nie potrafiłaby jej powstrzymać. Wiedziała, że arystokratka nie potrafi walczyć,

lecz w tej chwili z łatwością mogłaby ją pokonać.

- Oczywiście, że mogę – odrzekła Stephania. – Istnieje oręż lepszy jeszcze niż

trucizna. Choćby odpowiednie słowa. Niech pomyślę. Co zabolę cię najmocniej? Twój ukochany Rexus nie żyje. Zaczniemy od tego.

Ceres starała się nie pokazać, jak bardzo zaszokowały ją te słowa. Starła się, by nie wezbrał w niej żal, który arystokratka mogłaby dostrzec. Jednak po wyrazie zadowolenia na twarzy Stephanii poznała, że nie w pełni jej się to udało.

- Zginął, walcząc za ciebie – powiedziała Stephania. – Pomyślałam, że chciałybyś o tym wiedzieć. To takie... romantyczne.

- Łżesz – rzekła z przekonaniem Ceres, choć w głębi duszy wiedziała, że tak nie jest.

Coś takiego rzekłaby jedynie w przypadku tego, co Ceres mogłaby sprawdzić, tego, co zabolęłoby ją i bolęłoby nadal, gdy pozna prawdę.

- Nie muszę kłamać. Nie kiedy prawda jest znacznie lepsza od kłamstwa – odparła

Stephania. – Thanos także nie żyje. Zginął w bitwie o Haylon, jeszcze na brzegu.

Nowa fala żalu ogarnęła Ceres, obezwładniając ją niemal bez reszty. Nim Thanos wyruszył na Haylon, pokłóciła się z nim o śmierć jej brata i o to, co zamierzał uczynić – walczyć przeciw rebelii. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że będą to ostatnie

słowa, jakie do niego wypowie. Przekazała list Cosmasowi właśnie dlatego, by tak nie było.

- Nie rzekłam ci czegoś jeszcze – powiedziała Stephania. – Twój młodszy brat?

Sartes? Zabrali go do armii. Dopilnowałam, by żołnierze nie pominęli go jedynie przez

względ na to, że jest bratem Thanosowego orężnika.

Tym razem Ceres spróbowała rzucić się na nią, pomogła jej w tym przepełniająca ją wściekłość. Była jednakże tak słaba, że nie mogło jej się powieść. Poczula, że nogi zaplątują jej się w okrycie i upadła na podłogę. Podniosła głowę na Stephanie.

- Jak sądzisz, jak długo twemu bratu uda się wytrwać w armii? – zapytała Stephania.

Ceres spostrzegła, że na jej twarz wypływa coś w rodzaju drwiącej litości. – Biedna chłopaczyna. Żołnierze są tak okrutni wobec rekrutów. Wszak wszyscy oni są w zasadzie zdrajcami.

- Dlaczego? – zdołała zapytać Ceres.

Stephania rozłożyła ręce.

- Odebrałaś mi Thanosa, a jedynie z nim wiązałam swoją przyszłość. Teraz ja odbiorę wszystko tobie.

- Zabiję cię – przyrzekła Ceres.

Stephania roześmiała się.

- Nie będziesz miała ku temu okazji. To – wyciągnęła rękę i dotknęła pleców Ceres,

która zagryzła usta, by powstrzymać się od krzyku. –

jeszcze nic. Ta utarczka na Stade to nic. Czekają cię walki niewyobrażalnie trudne, jedna po drugiej, aż zginiesz.

- Sądziysz, że lud tego nie spostrzeże? – zapytała Ceres. – Sądziysz, że nie odgadnie

twych zamiarów? Wystawiliście mnie na Stade, gdyż sądziliście, że zbuntują się przeciwko wam. Co uczynią, jeśli pomyślą, że ich oszukujecie?

Ujrzała, że Stephania potrząsa głową.

- Lud widzi to, co chce ujrzeć. W tobie chcą widzieć swą waleczną królownę,

dziewczę, które dorównuje w boju mężczyźnie. Będą w to wierzyć i będą cię kochać aż do chwili, gdy staniesz się pośmiewiskiem na arenie. Będą patrzyli, jak twój przeciwnik rozrywa cię na strzępy, ale nim to nastąpi, będą krzyczeć, by cię ukatrupił.

Ceres mogła jedynie patrzeć, jak Stephania rusza w stronę drzwi. Aristokratka zatrzymała się, obróciła i przez chwilę wyglądała tak urokliwie i niewinnie jak zawsze.

- Ach, niemal zapomniałam. Próbowалаm podać ci medykament, lecz wytrąciłaś mi go

z dłoni, nim zdążyłam podać ci wystarczającą dozę.

Wyciągnęła buteleczkę, którą pokazała jej wcześniej i Ceres patrzyła, jak upuszcza ją na ziemię. Rozprysnęła się, a odłamki rozsypały po podłodze komnaty, sprawiając, że powrót do łóżka będzie dla niej bolesny i niebezpieczny. Ceres nie miała wątpliwości, iż Stephania uczyniła to z rozmysłem.

Ujrzała, jak dziewczyna wyciąga rękę po świecę, której płomień rozświetlał komnatę i przez ułamek sekundy, tuż zanim ją zdmuchnęła, uroczy uśmiech zniknął z ust Stephanii i zastąpiło go coś okrutnego.

- Zatańczę, gdy będą grzebać twe zwłoki, Ceres. Przyrzekam ci to.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nadal sądzę, że powinniśmy go wypatroszyć i porzucić ciało, by znaleźli je żołnierze Imperium.

- To dlatego, żeś durniem, Nico. Nawet jeśli spostrzegą jedno ciało więcej pośród reszty, skąd wiesz, że się tym przejmą? I musielibyśmy kłopotać się, by zanieść go gdzieś, gdzie go znajdują. Nie. Powinniśmy zażądać za niego zapłaty.

Thanos siedział w pieczarze, w której ukrywali się rebelianci, przysłuchując się, jak sprzecniają się o jego los. Ręce związali mu z przodu, ale przynajmniej zrobili co w ich mocy, by opatrzyć i obwiązać jego rany. Posadzili go przed niedużym ogniskiem, by nie zamarznął, gdy próbowali zdecydować, czy ukatrupić go z zimną krwią, czy nie.

Rebelianci siedzieli skupieni wokół innych ognisk, rozprawiając o tym, co mogą uczynić, by wyspa nie znalazła się w rękach Imperium. Zniżali głos, by Thanos nie podsłyszał szczegółów, lecz młodzian i tak wiedział już, co się dzieje: ponosili klęskę, i to zdecydowaną. Kryli się w pieczarach, gdyż nie mieli dokąd pójść.

Po chwili mężczyzna, który był ich przywódcą, podszedł i usiadł naprzeciw Thanosa, krzyżując nogi na twardym kamiennym podłożu. Podał mu kawał chleba, który Thanos żarłocznie pochłonał. Sam nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd jadł ostatnio.

- Na imię mi Akila – odezwał się mężczyzna. – Przewodzę rebelii.

- A mnie Thanos.

- Tylko Thanos?

Thanos usłyszał w jego głosie ciekawość i zniecierpliwienie. Zastanawiał się, czy mężczyzna odgadł, kim jest. Tak czy owak, prawda zdała mu się najlepszym wyjściem.

- Książę Thanos – przyznał.

Akila siedział przez kilka sekund w milczeniu i Thanos zaczął się zastanawiać, czy przyjdzie mu teraz umrzeć. Było już blisko, gdy rebelianci wzięli go za jakiegoś bezimiennego możnowładcę. Teraz, gdy wiedzieli już, że jest arystokratą, krewniakiem króla, od którego doznali tyle cierpień, niemożliwością zdało mu się, by mogli postąpić inaczej.

- Książę – powtórzył Akila. Rozejrzał się po pozostałych i Thanos dostrzegł na jego twarzy cień uśmiechu. – Hejże, mamy tutaj księcia.

- Musimy zatem zażądać zapłaty za jego życie! – wrzasnął któryś z rebeliantów. – Zapłacą za niego krocie!

- Musimy go ukatrupić – odezwał się inny. – Pomyślcie tylko, ile krzywd on i jemu podobni nam wyrządzili!

- Dosyć, wystarczy już tego – powiedział Akila. – Skupcie uwagę na nadchodzących starciach. Czeka nas długa noc.

Thanos usłyszał, że mężczyzna wzdycha cicho. Pozostali zwrócili się na powrót w stronę płomieni, przy których siedzieli.

- Bitwa nie przebiega zatem po waszej myśli? – zapytał

Thanos. – Rzekłeś wcześniej, że przegrywacie.

Akila posłał mu chłodne spojrzenie.

- Powiniennem wiedzieć, kiedy trzymać buzię na kłódkę. Może ty także powinieneś to wiedzieć.

- I tak rozważacie, czy mnie ukatrupić – odparł Thanos. – Sądzę zatem, że nie mam zbyt wiele do stracenia.

Thanos zamilkł. Tego człowieka nie można było przymusić do udzielania odpowiedzi. W Akili było coś surowego. Nieustępliwego i szczerego. Thanos zgadywał, że odczułby względem niego sympatię, gdyby zapoznali się w lepszych okolicznościach.

- Owszem – przyznał Akila. – Przegrywamy. Wy, Imperialni, dysponujecie większą liczbą ludzi i nie dbacie o to, jak wielkie zniszczenia wyrządzacie. Gród jest obleżony od strony lądu i od morza, tak, by nikt nie mógł opuścić wyspy. Będziemy walczyć ze wzgórz, lecz niewiele możemy uczynić, kiedy dodatkowy oręż może przybyć jedynie od wody. Draco może i jest bestią, ale sprytną.

Thanos skinął głową.

- To prawda.

- Ty z pewnością byłeś obok, gdy układał swe plany – powiedział Akila.

Thanos wreszcie pojął, o co chodzi mężczyźnie.

- To na to liczycie? Że znam ich plany? – potrząsnął głową. – Nie było mnie tam, gdy je obmyślali. Nie chciałem wcale tu przybywać i znalazłem się tu jedynie dlatego, że

strażnicy zaprowadzili mnie na okręt. Być może gdybym tam był, usłyszałbym o tym, że zamierzają dźgnąć mnie w plecy.

Wtem jego myśli powędrowały ku Ceres i ku temu, że zmuszono go, by ją opuścił. Sprawiało mu to ból większy niż wszystko, co go spotkało. Skoro ktoś u władzy usiłował go ukatrupić, pomyślał, co uczyni z Ceres?

- Masz wrogów – zgodził się Akila. Thanos dostrzegł, że zamyka i otwiera dłoń, jak gdyby długi bój o gród sprawił, że zaczęły łapać go kurcze. – I to nawet tych samych, co ja. Nie wiem jednak, czy czyni cię to moim przyjacielem.

Thanos powiódł znaczącym spojrzeniem po pieczarze. Po zaskakująco niewielkiej ilości żołnierzy, którzy tam pozostali.

- Zdaje mi się, że w tej chwili przyda ci się każdy możliwy przyjaciel.

- Ale ty wywodzisz się z królewskiego rodu. Twa pozycja okupiona jest krwią prostego ludu – rzekł Akila i znów westchnął. – Wygląda na to, że jeśli cię ukatrupię, uczynię to, czego pragnął Draco i jego panowie, ale w zasadzie dowiodłeś, że jeśli zażądam zapłaty za twą głowę, nic nie dostanę. Muszę stoczyć bój i nie mogę trwonić czasu na jeńców, którzy nic nie wiedzą. Cóż mam zatem z tobą uczynić, księżę Thanosie?

Thanos odniósł wrażenie, iż mężczyzna w istocie pyta go o to. Że w istocie pragnie lepszego rozwiązania. Rozmyślał szybko, co odrzec.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli mnie uwolnisz – powiedział. Akila roześmiał się słysząc te słowa.

– Niezła myśl. Jeśli to wszystko, na co cię stać, to nie ruszaj się. Postaram się, by nie zabołało.

Thanos spostrzegł, że sięga dłonią do jednego z mieczy.

- Mówię poważnie – rzekł Thanos. – Nie pomogę wam zwyciężyć bitwy o wyspę, jeśli będę tutaj.

Na twarzy Akili spostrzegł niedowierzanie i przekonanie, że to pułapka. Thanos mówił szybko, wiedząc, że nadzieję na przeżycie kolejnych minut mógł mieć jedynie wtedy, gdy przekona tego mężczyznę, że pragnie wspomóc rebelię.

- Sam rzekłeś, iż jednym z największych problemów jest to, że imperialna flota zaopatruje walczących – powiedział Thanos. – Wiem, że pozostawili zaopatrzenie na okrętach, gdyż tak bardzo palili się do ataku. Przejmiemy zatem okręty.

Akila wstał.

- Słyszeliście, przyjaciele? Ten tu książę ma plan, by odebrać Imperium okręty.

Thanos spostrzegł, że rebelianci zaczynają zbierać się wokoło nich.

- A na co nam to? – zapytał Akila. – Zdobędziemy ich okręty i co później?

Thanos postarał się jak najlepiej objaśnić im swój plan.

- W najgorszym razie umożliwi to ucieczkę części mieszkańców grodu i twoich żołnierzy. Pozbawi także zaopatrzenia żołnierzy imperialnych, którzy nie będą w stanie walczyć bez niego zbyt długo. I są jeszcze balisty.

- A cóż to takiego? – zawołał jeden z rebeliantów. Nie

wyglądał, jakby był żołnierzem od dawna. W mniemaniu Thanosa niewielu spośród zebranych w pieczarze tak wyglądało.

- Machina miotająca strzały – objaśnił. – Oręż stworzony po to, by niszczyć inne okręty, ale gdyby zwrócić je ku żołnierzom na brzegu...

Akila zdawał się rozważać tę możliwość.

- Może to i dobry pomysł – przyznał. – A okręty, które nie będą nam do niczego przydatne, możemy podpalić. W najgorszym razie Draco wycofa swych ludzi, by odzyskać flotę. Ale jak niby mamy przejąć jego okręty, książę Thanosie? Wiem, że tam, skąd pochodzisz, książę musi jedynie zażądać czegoś i to otrzymuje, lecz wątpię, by tak stało się w przypadku floty Draco.

Thanos zmusił się do uśmiechu z pewnością, której wcale nie odczuwał.

- Zrobimy coś bardzo podobnego.

I znów odniósł wrażenie, iż Akila pojął, o co mu chodzi znacznie szybciej niż jego kompani. Na twarz przywódcy rebelii wypłynął uśmiech.

- Jesteś szaleńcem – powiedział Akila. Thanos nie wiedział, czy poczytać to za obelgę, czy nie.

- Na plaży leży wielu poległych – objaśnił Thanos pozostałym. – Przywdziejemy ich zbroje i ruszymy ku okrętom. Pójdziecie ze mną, dzięki czemu będziecie wyglądać na oddział powracający po zaopatrzenie.

- Cóż o tym sądzicie? – zapytał Akila.

W migoczącym wewnątrz pieczary blasku ognisk Thanos

nie mógł dostrzec tych, którzy mówili. Pytania zdawały się wypływać z mroku i książę nie potrafił orzec, kto się z nim zgadzał, kto wątpił w niego, a kto chciał jego śmierci. Nie było to jednak gorsze od polityki na jego rodzinnych ziemiach. Pod wieloma względami było lepiej, gdyż przynajmniej nikt nie uśmiechał się do niego, jednocześnie knując, jak go uśmiercić.

- A co ze strażnikami na okręcie? – zapytał jeden z rebeliantów.

- Nie ma ich tam wielu – powiedział Thanos. – Poza tym znają mnie.

- A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy zginą w grodzie, gdy my będziemy przejmować okręty? – zawołał inny.

- Teraz także giną – odkrzyknął Thanos. – Tym sposobem przynajmniej zyskacie szansę, by przeciwstawić się wrogowi. Jeśli nam się uda, ocalimy setki, a może i tysiące żyć.

Zaległa cisza i ostatnie pytanie przedarło się przez nią jak strzała.

- Jak możemy mu zaufać, Akilo? Nie jest zwykłym żołnierzem, jest arystokratą. Księciem.

Thanos zwrócił się tyłem w stronę, z której dobiegł głos, tak, by wszyscy mogli dojrzeć jego plecy.

- Ugodzili mnie w plecy. Pozostawili, bym skonał. Mam powody, by nienawidzić ich równie mocno, jak każdy z was.

W tej chwili nie myślał jedynie o Tajfunie. Myślał o wszystkim, co jego ród uczynił ludowi Delos i o wszystkim, co uczynił Ceres. Gdyby nie zmusili go, by udał się na Plac Fontann,

nie byłoby go przy śmierci jej brata.

- Możemy tu siedzieć – powiedział Thanos. – albo możemy działać. Owszem, będzie to ryzykowne posunięcie. Jeśli rozpoznają, że nie jesteście imperialnymi żołnierzami, najpewniej zginiemy. Jestem gotów podjąć to ryzyko. A wy? – gdy nikt się nie odezwał, Thanos zapytał głośniej: – A wy?

Tym razem w odpowiedzi usłyszał okrzyki poparcia. Akila podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu.

- Dobrze, książę, zdaje się, że zrobimy to po twojemu. Jeśli ci się powiedzie, zyskasz przyjaciela na całe życie – zacisnął dłoń, aż Thanos poczuł ostry ból w plecach. – Zdradź nas jednak, poprowadź mych ludzi na śmierć, a przysięgam, że cię wytropię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W Delos były zakątki, w które Berin zwykle się nie zapuszczał. Były to miejsca, w których unosił się odór potu i desperacji. Ich mieszkańcy zdolni byli posunąć się do wszystkiego, byle tylko przetrwać. Berin próbował zniechęcić nieprzyjaznymi spojrzeniami czających się w zakamarkach ludzi, by trzymali się od niego z daleka.

Gdyby tylko wiedzieli, że ma przy sobie złoto, Berin był pewien, że poderżnęliby mu gardło, a zawartość skrytego pod jego tuniką mieszka podzielili i wydali w pobliskich karczmach i domach gier, nim dzień dobiegnie końca. To właśnie tych miejsc teraz szukał – gdzieś indziej miałby znaleźć żołnierzy po skończonej służbie? Jako miecznik Berin znał zwyczaje wojów i wiedział, w jakich miejscach bawią.

Złoto dostał od kupca, do którego zabrał dwa sztylety. Wykuł je, by móc pokazać tym, którzy mogli go najać. Był to piękny oręż, taki, który z dumą nosiłby u pasa niejeden możnowładca, zdobiony złotym filigranem i wrytymi na rękojeściach scenami łowów. Były to ostatnie cenne przedmioty, jakie mu pozostały. Czekał z tuzinem innych ludzi przed kontuarem kupca i otrzymał za nie połowę tego, co były warte.

Dla Berina nie miało to znaczenia. Liczyło się jedynie odnalezienie jego dzieci, a do tego potrzebne mu było złoto. Złoto, którym mógł płacić napitek dla właściwych osób, które

mógł wetknąć we właściwe dłonie.

Powoli chodził od jednej karczmy Delos do drugiej. Nie mógł ot tak zadawać pytań, na które szukał odpowiedzi. Musiał mieć się na baczności. Niejaką pomocą było to, że miał w grodzie kilku przyjaciół, miał ich także w imperialnej armii. Przez minione lata wykuty przez niego oręż ocalił życie niejednemu.

Mężczyznę, którego szukał, znalazł podpitego w środku dnia w jednej z karczm. Cuchnął tak straszliwie, że ławy w pobliżu niego były puste. Berin zgadywał, iż jedynie imperialny uniform powstrzymywał karczmarza przed wyrzuceniem go na zbity pysk na ulicę. Cóż – to i fakt, iż Jacare był tak tłusty, że wynosić go musiałyby połowa mężczyzn w karczmie.

Berin zobaczył, że gruby mężczyzna podnosi oczy, widząc, iż ktoś się do niego zbliża.

- Berin? Mój stary druhu! Podejdz i wypij no ze mną! Choć ty będziesz musiał zapłacić. Jestem teraz...

- Tłusty? Pijany? – zgadywał Berin. Wiedział, że mężczyzny nie urażą jego

przytyki. Zdawał się z rozmysłem służyć za przykład najgorszego żołnierza w szeregach imperialnej armii. Zdawało się, że przewrotnie jest z tego nawet dumny.

- ... w nieco kłopotliwej sytuacji finansowej – dokończył Jacare.

- Być może mógłbym przyjść ci z pomocą – powiedział Berin. Poprosił o napitek,

lecz nie tknął swojego. Musiał rozumować jasno, jeśli ma odnaleźć Ceres i Sartesa. Odczekał zatem, aż Jacare opróżni swój kufel, siorbiąc przy tym niczym osioł u koryta z wodą.

- Cóż więc sprawiło, że ktoś taki jak ty poszukuje mego skromnego towarzystwa?

- zapytał Jacare po chwili.

- Szukam wieści – odparł Berin. – Takich, jakie ktoś na twym miejscu mógł zasłyszeć.

- Ach, wieści. Przy ich omawianiu chce się pić. I kosztują drogo.

- Szukam mojej córki i syna – wyjaśnił Berin. W kim innym być może

wzbudziłby tymi słowami nieco współczucia, lecz wiedział, że na mężczyźnie pokroju Jacare'a nie wywrze takiego wpływu.

- Syna? Nesosa, tak?

Berin pochylił się przez stół i zacisnął dłoń wokół nadgarstka Jacare'a, który właśnie

Podnosił kufel do ust. Nie pozostało mu już zbyt wiele krzepy, której nabył wykuwając młotami broń w kuźni, był jednak wystarczająco silny, by mężczyzna się wzdrygnął. I dobrze, pomyślał Berin.

- Sartesa – odrzekł. – Mój starszy syn nie żyje. Sartesa zabrano do armii. Wiem, że dociera do ciebie wiele pogłosek. Chcę wiedzieć, gdzie jest on i gdzie jest moja córka, Ceres.

Jacare wyprostował się, a Berin pozwolił mu na to. I tak

nie był pewien, czy zdoła długo jeszcze utrzymać mężczyznę w miejscu.

- Może i coś o nich słyszałem – przyznał żołnierz. – ale takie sprawy mają to do siebie, że są trudne. Mam wiele wydatków.

Berin wyciągnął niewielki mieszek ze złotem. Wysypał je na stół, wystarczająco daleko, by Jacare nie mógł po nie sięgnąć.

- Czy to pokryje twoje “wydatki”? – zapytał Berin, spoglądając na kufel mężczyzny. Spostrzegł, że przelicza złoto, najpewniej ważąc w myśli, czy zdoła przekonać Berina, by zapłacił więcej.

- Z twą córką sprawa jest prosta – powiedział Jacare. – Jest w zamku, pośród możnowładców. Ogłoszono, że ma poślubić księcia Thanosa.

Berin odetchnął z ulgą, usłyszawszy te słowa, choć nie był pewien, co o tym sądzić. Thanos był jednym z nielicznych członków królewskiego rodu, którzy zachowywali się wobec niego przyzwoicie, ale zaślubiny?

- Z twym synem sprawa ma się inaczej. Niech no pomyślę. Doszły mnie słuchy, że kilku żołnierzy z Dwudziestego trzeciego zbierało rekrutów w twojej okolicy, lecz nie mam pewności, iż jest z nimi. Jeśli tak, obozują nieco na południe stąd i usiłują wyszkolić rekrutów do walki z rebeliantami.

Na tę myśl w Berinie zagotowało się ze złości. Był w stanie odgadnąć, jak w armii potraktują Sartesa i co zawiera się w tym “szkoleniu”. Musiał uwolnić syna. Lecz Ceres była bliżej i musiał choćby zobaczyć się z córką, nim wyruszy na poszukiwania

Sartesa. Podniósł się z miejsca.

- Nie pijesz już? – zapytał Jacare.

Berin nic nie odrzekł. Zamierzał udać się do zamku.

Berinowi łatwiej niż komu innemu było dostać się za mury zamku. Przeszło już nieco czasu, lecz nadal był tym, który stawiał się tam, by omawiać wymagania mistrzów boju co do ich oręża albo by przynieść poszczególne sztuki broni dla możnowładców. Musiał jedynie udawać, iż powrócił do pracy, przechodząc pewnym krokiem obok strażników przy zewnętrznej bramie i wchodząc na teren, gdzie sposobili się do boju wojownicy.

Teraz musiał dotrzeć tam, gdzie znajduje się jego córka – gdziekolwiek to było. Ogrodzone miejsce, w którym ćwiczyli się wojownicy a resztę zamku oddzielała zaryglowana brama. Berin musiał poczekać, aż ktoś otworzy ją z przeciwnej strony. Przepchnął się obok sługi, który to uczynił, próbując sprawiać wrażenie, iż przez jakieś naglące sprawy musi znaleźć się w innej części zamku.

Tak zresztą było, jednak większość ze strażników nie zrozumiałaby tego.

- Hej, ty! A niby dokąd się wybierasz?

Berin zatrzymał się, słysząc szorstki głos mówiącego. Nim się obrócił, wiedział już, że ujrzy strażnika, a nie wiedział, jak wyjaśnić swoją obecność w zamku tak, by mężczyzna mu uwierzył. W najlepszym razie mógł mieć nadzieję, że wyrzucą

go z zamku, nim zdoła zbliżyć się do córki. W najgorszym zaś czeka go wtrącenie do lochu albo wyprowadzenie na egzekucję w miejsce, w którym nikt tego nawet nie spostrzeże.

Odwrócił się i ujrzał dwóch strażników, po których widać było, że służyli w imperialnej armii nie od dziś. Ich włosy poprzetykane były siwizną równie gęsto, jak Berina, a twarze mieli zniszczone, jak gdyby wiele lat spędzili, tocząc bój w słońcu. Jeden z nich przewyższał Berina o dobrą głowę, lecz pochylał się lekko nad włócznią, na której się wspierał. Drugi miał brodę, którą nacierał olejem i woskiem tak długo, iż zdawała się niemal tak ostra, jak broń, którą trzymał w dłoni. Na ich widok Berina ogarnęła ulga, gdyż rozpoznał ich obu.

- Varo, Caxus? – odezwał się. – To ja, Berin.

Napięcie zawisło na chwilę w powietrzu i Berin miał nadzieję, że tych dwóch go pamięta. Wtem strażnicy roześmiali się.

- W rzeczy samej, to ty – powiedział Varo, prostując się na chwilę. – Nie widzieliśmy cię tu od... ile to już czasu upłynęło, Caxusie?

Drugi mężczyzna przesunął dłonią po brodzie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Przeszło wiele miesięcy, odkąd był tu ostatni raz. Nie mówiliśmy odkąd dostarczył mi karwasze minionego lata.

- Musiałem wyjechać – wyjaśnił Berin. Nie rzekł dokąd. Kowali może i nie opłacano zbyt sownie, ale Berin wątpił, by strażnicy dobrze zareagowali na wieść o tym, iż szukał najmu gdzie indziej. Żołnierzom zwykle nie w smak było, gdy wróg

otrzymywał dobry oręż. – Nastaly ciężkie czasy.

- Czasy są ciężkie wszędzie – zgodził się z nim Caxus. Berin spostrzegł, że zmarszczył nieco brew. – Nie wyjaśnia to jednak, co robisz w głównej części zamku.

- Nie powinienes tu wchodźć, kowalu, i wiesz o tym – przytaknął Varo.

- Cóż się stało? – zapytał Caxus. – Nieoczekiwana naprawa ulubionego miecza któregoś z młodzianów w dworze? Sądzę, że doszłyby nas słuchy o tym, że Lucious strzaskał miecz. Najpewniej wychłostałby któregoś sługę do żywego mięsa.

Berin wiedział, że nie uda mu się przekonać ich takim kłamstwem. Miast tego postanowił więc spróbować jednego, co mogło podziałać: szczerości.

- Przybyłem zobaczyć się z córką.

Usłyszał, że Varo wciąga powietrze ze świstem.

- Ach, to nie będzie takie proste.

Caxus skinął głową:

- Widziałem, jak walczyła na Stade. Nie poddaje się łatwo. Ukatrupiła kolczastego niedźwiedzia i mistrza boju. Ale nie była to łatwa walka.

Berinowi ścisnęło się serce, gdy usłyszał słowa strażnika. Kazali Ceres walczyć na placu? Choć wiedział, iż ziszczeniem jej snów było toczenie boju na Stade, nie sądził, by o to im chodziło. Nie, chodziło o coś innego.

- Muszę się z nią zobaczyć – nalegał Berin.

Varo przechylił głowę na bok.

- Jak rzekłem, to nie takie proste. Nikt nie może jej odwiedzać. To rozkaz królowej.

- Ale ja jestem jej ojcem – odparł Berin.

Caxus rozłożył ręce.

- Niewiele możemy na to poradzić.

Berin zastanowił się szybko, co robić.

- Niewiele? Czy to odrzekłem, gdy chciałeś, bym nareperował drzewce włóczni, którą raz złamałeś, nim ujrzy to twój kapitan?

- Zgodziliśmy się, że nie będziemy o tym wspominać – odrzekł strażnik z niepokojem.

- A cóż ty rzekniesz, Varo? – mówił dalej Berin, kując żelazo póki gorące, nim drugi mężczyzna postanowi go wyrzucić. – Czy odparłem, że to “nie takie proste”, gdy chciałeś miecza, który dobrze leżałby w twojej dłoni miast tego, który wydała ci armia?

- Cóż...

Berin nie ustępował. Ważne było, by rozwiać ich wątpliwości. Nie, ważne było, by zobaczył się z córką.

- Jak wiele razy mój oręż ocalił wam życie? – zapytał. – Varo, opowiedziałeś mi o herszcie bandy, którego ścigał twój oddział. Czyim mieczem go ukatrupiłeś?

- Twoim – przyznał Varo.

- A ty, Caxusie, gdy pragnąłeś przyozdobić swe nagolenniki filigranem, by wywrzeć wrażenie na dziewczce, z którą się ożeniłeś, do kogo się udałeś?

- Do ciebie – przyznał Caxus. Berin widział, że mężczyzna się zastanawia.

- A było to jeszcze nim zacząłem podążać za wami podczas kampanii – powiedział. – A co z...

Caxus uniósł dłoń.

- Dobrze już, dobrze. Dowiodłeś swego. Komnata twojej córki znajduje się na górze. Wskażemy ci drogę. Ale jeśli ktoś będzie pytał, prowadzimy cię do wyjścia z zamku.

Berin wątpił, by ktokolwiek miał o to zapytać, lecz w tej chwili nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko jedno. Zobaczy się ze swoją córką. Ruszył za strażnikami przez zamkowe korytarze i po jakimś czasie dotarł wreszcie do drzwi zamkniętych na rygiel i na klucz od zewnątrz. Klucz znajdował się w zamku, więc Berin przekręcił go.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.